Cena 80 groszy

HELSZTYŃSKI: W SIECI — GROSSMAN: REWJA FLOTY PRZED MIKOŁAJEM I („ZAPISKI D'ARCHIACA": ŚMIERĆ PUSZKINA)

Dziś 8 stron

WIADOMOSCI LITERACKIE

TYGODNIK

Prenumerata kwartalna zł. 9.— z przesyłką pocztową. Konto w P.K.O. nr. 8.515 Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 73 Administracja Warszawa, Królewska 13 W Warszawie prenumeratę można zgłaszać telefonicznie nr. 223-04

Nr. 19 (758) Warszawa, Niedziela 1 maja 1938 r. Rok XV

WŁADYSŁAW BESTERMAN

Litewski pasjans Józefa Piłsudskiego

Nad nierozwiązanem i chronicznie zaognionem zagadnieniem polsko-litewskiem rozpostarł się w ostatnich miesiącach 1927 r. cień wojny.

Skomplikowany splot trudności wewnętrznych, na jakie natknął się pochodzący z zamachu stanu (grudzień 1926) dyktatorski rząd litewski prof. Voldemarasa, i coraz groźniejsza działalność opozycji z jednej strony, a z drugiej — stała tendencja wyzyskiwania klina litewskiego przez przeciwpolską politykę Niemiec, sprzymierzonych z Rosją sowiecką, skierowały impet polityczny rządu litewskiego przeciw Polsce. Jedynem zagadnieniem, wokół którego mógł Voldemaras zjednoczyć rozbitą i coraz jawniej mu niechętną opinję litewską, była sprawa wileńska, zagadnienie stosunku do Polski.

Ppłk. Józef Beck, Marszałek Józef Piłsudski i mjr. Anatol Bielski

ZWARCIE KLESZCZÓW RAPALLSKICH

Nic bardziej radosnego dla związanych sojuszem Moskwy i Berlina. Akcja litewska mogła przecież tylko ciaśniej zewrzeć kleszcze, zmontowane w Rapallo i obejmujące Polskę od 1922 r. Idealnym akordem zagrała sprzymierzona propaganda niemiecko-sowiecka. Siedział przecież w Moskwie stary mistrz wielkiej gry politycznej hr. Brockdorff-Rantzau, korepetytor niezbyt jeszcze wówczas wprawnych sowieckich techników dyplomatycznych. Poszedł więc w świat alarm o wojennych przeciwlitewskich przygotowaniach polskich. Poszła na szerokie wody prasy światowej dotąd tylko w Kownie, na lokalny użytek, wyzyskiwana teza o trwającym pomiędzy Polską i Litwą stanie wojny. Sytuację przedstawiono światu z całą jaskrawością tonów: — Litwa jest z Polską w stanie wojny; Polska żywi — jak wiadomo — plany zaborcze wobec Litwy i postanowiła ten potencjalny stan wojny wyzyskać, przygotowuje powstanie na Litwie, ażeby wkroczyć zbrojnie. Moskiewski korespondent „Berliner Tageblattu" Scheffer wypunktował wszystkie fascynujące akcenty wojennych przygotowań emigracji litewskiej w Wilnie, instruowanej przez sztab polski. Pacyfistycznym basem przytwierdzał mu „Vorwärts" i „Izwiestja". Dźwięczne echa rozległy się w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku. W Kownie zaaresztowano nauczycieli polskich, zmobilizowano „szaulisow" i policję, a wreszcie ogłoszono mobilizację kilku roczników, składając jednocześnie w Genewie serje skarg na Polskę, spiętych groźnie połyskującą klamrą art. 11 paktu Ligi Narodów, mówiącego o „groźbie napadu na terytorjum państwa, należącego do Ligi Narodów" — o groźbie napadu Polski na Litwę.

August Zaleski, Marszałek Józef Piłsudski, Aristide Briand, Austen Chamberlain i Joseph Paul-Boncour

Akcja udała się na wszystkich frontach. Wobec wysunięcia bezpośredniej groźby ataku polskiego — przycichły ruchy opozycji litewskiej. Voldemaras poprawił się w siodle. Polska stanęła przed Ligą Narodów i nawskroś jeszcze wówczas pacyfistycznie usposobionym światem jako oskarżona o przygotowanie wojny, agresji na Litwę. Umotywowanie niemiecko-sowieckiego sojuszu wojskowego i politycznego, pojętego jako środek obrony przeciwko wiecznie wojenne sny śniącej Polsce — nigdy bodaj nie opierało się na tak oczywiście realnej podstawie. Stara niemiecko-sowiecka teza o awanturniczości militarystycznej polityki Polski — była udowodniona. Treść skarg litewskich w połączeniu z silną akcją prasową stworzyła dla Polski w Genewie sytuację jak najgorszą.

KONTRAKCJA PIŁSUDSKIEGO

Józef Piłsudski nie uważał za stosowne zająć pozycji obronnej. W rozjątrzoną atmosferę Europy runęła wieść o zwołanej przezeń w Wilnie — właśnie w Wilnie! — niespodziewanej konferencji dyplomatyczno-wojskowej, mającej wszystkie cechy ostatecznego przygotowania do wojny. Dn. 23 listopada 1927 r. Marszałek przybył do Wilna w towarzystwie ppłk. Aleksandra Prystora i mjr. Konrada Zembrzuskiego. Tym samym pociągiem przyjechał minister spraw zagranicznych August Zaleski, jego zastępca Roman Knoll, naczelnik wydziału wschodniego ministerstwa spraw zagranicznych Tadeusz Hołówko i szef gabinetu ministra spraw zagranicznych Marjan Szumlakowski. Równocześnie przybył do Wilna szef II oddziału sztabu generalnego ppłk. Tadeusz Schaetzel, poseł polski w Moskwie Stanisław Patek i poseł polski w Rydze Juljusz Łukasiewicz.

Cały dzień spędził Piłsudski na naradach z Zaleskim, Patkiem, Łukasiewiczem, Knollem, Schaetzlem i Prystorem. Nazajutrz znów narady w tem samem gronie, a potem rozmowy z wojewodą wileńskim Władysławem Raczkiewiczem, dowódcą okręgu korpusu nr. 3 gen. Aleksandrem Litwinowiczem, dowódcą 1-ej dywizji legjonowej gen. Janem Popowiczem, dowódcą 19-ej dywizji wileńskiej płk. Tadeuszem Kasprzyckim, naczelnikiem Hołówką i ppłk. Schaetzlem. Wieczorem nastąpił pośpieszny wyjazd do Warszawy.

Trudno było wyobrazić sobie w najzłośliwszej fantazji bardziej dla Moskwy, Berlina i Kowna drażniący skład osobowy i bardziej drastyczne miejsce odbycia narad. Otworzyły się wszystkie upusty oskarżeń. Nic nie mogło wyraźniej wróżyć rozpoczęcia działań wojennych przeciwko Litwie, i to — natychmiast. Przebieg narad wileńskich utrzymany był w ścisłej tajemnicy, prasa nie otrzymała żadnych informacyj, ale dyrygowana jedną ręką propaganda trzech ówczesnych sprzymierzeńców przedstawiła światu cel niezwykłej konferencji jasno: — wojna z Litwą!

W redakcjach europejskich delegowano pierwszych korespondentów wojennych na front wileński.

Jeszcze nie wygotował się ukrop wiadomości wojennych, ledwie cztery dni minęły od „wileńskiej rady wojennej" — jeszcze na wszystkich stołach świata leżały gazety, przewidujące polski marsz na Kowno, kiedy przyszło drugie uderzenie Piłsudskiego, jak wszystkie, niespodziewane.

Marszałek Józef Piłsudski wyjeżdża do Genewy; z prawej wicepremjer Kazimierz Bartel

ODWRÓCENIE RÓL

Dn. 29 listopada ogłoszono tekst noty polskiej, wystosowanej w sposób niezwykły — do wszystkich rządów państw, z któremi Polska utrzymywała stosunki dyplomatyczne. Nota mówiła w najistotniejszym ustępie, że „rząd polski nie żywi żadnych zamiarów, zagrażających niepodległości politycznej i całości terytorjalnej Republiki Litewskiej, i jedynem jego pragnieniem jest nawiązanie z rządem litewskim w duchu najbardziej pokojowym normalnych stosunków sąsiedzkich. Pragnienie rządu polskiego stale spotykało się z kategoryczną odmową wszystkich rządów Litwy, które dziś, tak jak i dawniej, twierdzą, że ich kraj znajduje się w stanie wojny z Polską"...

Mistrzowski chwyt polityczno-taktyczny, który odwracał role, który oskarżoną Polskę stawiał przed Ligą Narodów w pozycji oskarżyciela. Zamiast trudnego do udowodnienia oskarżenia litewskiego o przygotowanym przez Polskę najeździe — stawiał Piłsudski oskarżenie, które... udawadniał sam rząd litewski swemi własnemi słowy, swem własnem, zasadniczem stanowiskiem. Przecież nie kto inny jak rząd litewski twierdził, że znajduje się w stanie wojny z Polską. Uprzytomnienie Lidze Narodów, predestynowanej przecież nadewszystko do **usuwania** stanu wojny, że zdaniem rządu litewskiego trwa na granicy polsko-litewskiej stan uporczywej niedorzeczności, nazywany przez Litwę stanem wojny, było zgarnięciem do własnej ręki tych wszystkich atutów, które właśnie na stole obrad Ligi Narodów gwarantowały wygraną.

Nie po raz pierwszy wówczas, i nie po raz ostatni, nie zorjentowano się w celowości gry dyplomatycznej Piłsudskiego. Dopatrywano się nawet niekonsekwencji w zestawieniu narady wileńskiej z pacyfistyczną notą deklaratywną. Trzeba było kilku lat i przetrawienia całości materjału, ażeby pojąć że obowiązek wodza sił zbrojnych nakazywał zarządzenie pogotowia obronnego, którego alarmująca aparatura nadawała się właśnie do wyzyskania jej dla efektów zewnętrznych, polegających na połączeniu elementów gotowości zbrojnej i zamiarów najszczerzej pokojowych.

Po kilku latach przecież — w 1933 r. — zastosował Piłsudski zespół pozornie sprzecznych środków dla uzyskania deklaracji o intencjach politycznych od innego sąsiada Polski... Westerplatte i deklaracja polsko-niemiecka...

W kancelarjach dyplomatycznych i w prasie światowej szybkie pociągnięcia Piłsudskiego wzmagały tymczasem podniecenie. Zrozumiano, że Marszałek osobiście przystąpił do rozgrywki ostatecznej, ale nieświadomość jej celu i nieprzewidywane przez klasyczną dyplomację metody dezorjentowały wszystkich, a rząd litewski przedewszystkiem. Sesja Rady Ligi Narodów — 48-a zwyczajna — zapowiadała się burzliwie. Skargi litewskie stały na jej porządku obrad. Początek sesji wyznaczony był na dzień 5 grudnia.

Aristide Briand, Marszałek Józef Piłsudski i Austen Chamberlain

ZAPOWIEDŹ WYJAZDU MARSZAŁKA

W tym stanie rzeczy pojawiła się w prasie wiadomość tajemniczego pochodzenia, zupełnie niewiarogodna, o wszelkich cechach wytworu podekscytowanej wyobraźni, zapowiadająca wyjazd Piłsudskiego do Genewy.

Pochodzenie tej „wielkiej sensacji", która ukazawszy się w ostatnich dniach listopada 1927 r, w trzech dziennikach, obsługiwanych przez dwu najmłodszych wówczas na terenie Warszawy reporterów politycznych, — Konrada Wrzosa i autora niniejszych wspomnień, — wywołała burzę sprostowań, zaprzeczeń, oburzenia i złej krwi — można dziś zdradzić. Pochodziła poprostu od pewnego krawca, a brzmiała w druku: „Jak się dowiadujemy, w pierwszych dniach grudnia b. r. wyjeżdża do Genewy na sesję Rady Ligi Narodów premjer Marszałek Piłsudski w towarzystwie płk. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego i ppłk. Józefa Becka".

Marszałek Józef Piłsudski powraca z Genewy; z lewej ppłk. Józef Beck, z prawej ppłk. Aleksander Prystor

Trudno, może nawet nie sposób uświadomić sobie dziś całego pozornego nieprawdopodobieństwa tej notatki. Była jednak drobiazgowo sprawdzona w szczegółach. U krawca Z. naprawdę zamówiono dla Marszałka czarne ubranie cywilne i ciemnoszare palto jesienne. Nie wszyscy obowiązani do dyskrecji dochowali tajemnicy. Stwierdzi-

liśmy nawet, że Marszałek nie jeździ do miary. Już dwa razy w Belwederze mierzono strój cywilny. Wyjazd jest postanowiony, choć chwilowo miał jeszcze być utrzymany w tajemnicy. Marszałek będzie obecny na sesji grudniowej Rady Ligi Narodów; — mimo urzędowych zaprzeczeń, upieraliśmy się do upadłego.

Tymczasem Marszałek działał nadal w Warszawie. Po ogłoszeniu noty okólnej zwołał do Belwederu w dn. 29 listopada naradę z udziałem wicepremjera prof. Kazimierza Bartla, ministra Zaleskiego i podsekretarza stanu Knolla. Dn. 1 grudnia udzielił Marszałek wywiadu, uspokajającego podenerwowaną opinję polską, ale kwalifikującego argumenty polityki zagranicznej Voldemarasa „jako zaczerpnięte z bogactw rozumu ludzi, przebywających w szpitalu warjatów". Po uspokajającej nocie — nowe uderzenie.

Przeciwnatarcie polityczne rozwijało się coraz szybciej. Linja działań wytknięta była już w tym okresie bardzo wyraźnie. Piłsudski ani przez dzień jeden nie zajął stanowiska obronnego wobec codziennych ataków litewsko-sowiecko-niemieckich na terenie międzynarodowym. Rozwijając w szczegółach raz obraną taktykę nie odpierał oskarżeń, lecz sam oskarżał, używając języka najłatwiej wpadającego w uszy genewskich asów pacyfizmu: — stawiał Voldemarasa w roli upartego zwolennika niepokojącego i nieobliczalnego w skutkach stanu wojny, wykazując niebezpieczną absurdalność jego stanowiska i domagając się ze swej strony jedynie odwołania przez rząd litewski tezy głoszącej trwanie wojny na granicy polsko-litewskiej.

PIERWSZY REZULTAT PRZECIWNATARCIA

Nadchodziły pierwsze dni grudnia. Działania przenieść się już musiały do Genewy, gdzie trzeba było od Ligi Narodów uzyskać wymuszenie na rządzie litewskim zmiany jego wieloletniego stanowiska i formalne, publiczne akceptowanie istniejącego realnie stanu rzeczy na granicy polsko-litewskiej.

Dn. 1 grudnia wyjechali do Genewy minister Zaleski, dyrektor Szumlakowski i Wiktor Skiwski. Nazajutrz ruszył z Kowna Voldemaras, drogą na Berlin, gdzie — dla ostatecznego zapewnienia sobie poparcia niemieckiego w Genewie — miał odbyć zasadniczą naradę z ministrem spraw zagranicznych Stresemannem.

pierwszy raz w życiu ujrzałem niepozorną postać litewskiego dyktatora. Poznałem go — oczywiście — odrazu. Fotografje i karykatury spopularyzowały przecież w całym świecie kwadratową figurkę na krótkich nóżkach i wielką głowę z ostrym „jeżem", kanciasto zarastającym połowę mięsistego czoła. Nie było sposobu oprzeć się pokusie. Przesiedliśmy się do przedziału, w którym jechał. Nie rozstawał się z wielką teką, wyładowaną papierami i gazetami. Czytał przez całą drogę z Berna do Genewy. Na zmianę przeglądał papiery, zapisane maszynowem pismem, zeszyte w kolorowych teczkach, i gazety — niemieckie, szwajcarskie i polskie. Przeżyliśmy zawód. Nie było żadnych ciekawych obserwacyj. Poprostu jechał pan niskiego wzrostu, czytał gazety, przerzucał papiery.

Genewa — piękna wiosną i jesienią — nie jest miła w grudniu. Wilgoć, opary z jeziora i genewska specjalność, „la bise", przejmujący, porywisty wiatr z deszczem, nie dają klimatycznych rozkoszy. Grudzień 1927 r. był jednak milszy niż zwykle. Cieplej było, rzadziej padało, nad jeziorem cieńszem pasmem leżały mgły, i czasem wynurzały się z nisko wiszących obłoków góry Sabaudji, atrakcja letnich sezonów Ligowych.

Zjazd dyplomatyczny i dziennikarski zapowiadał się niezwykle licznie. Zagadnienie polsko-litewskie, kwalifikowane w pierwszym okresie przeniesienia go na teren genewski jako konflikt lokalny, rozgrywający się w oddalonym dla zachodnioeuropejskich pojęć ówczesnych kącie świata, urosło w miarę rozwoju wypadków do rozmiarów sensacji międzynarodowej.

Postawienie sprawy przez Marszałka Piłsudskiego na zasadniczej dla Ligi Narodów i pasjonującej dla świata płaszczyźnie, streszczonej w alternatywie „pokój czy wojna", dokonało reszty. 48-a sesja zwyczajna Rady Ligi Narodów znalazła się na liście zebrań ligowych, wokoło których ześrodkowało się najwięcej elementów sensacji.

Nadewszystko zaś — był przecież zapowiedziany przyjazd Piłsudskiego, mitycznej dla zblazowanego światka genewskiego postaci bohatera narodowego, dyktatora, wodza siły zbrojnej.

Szeroko rozlały się po prasie domysły i proroctwa, szeroko rozpatrywano możliwości, płynące dla polityki światowej z obecności Piłsudskiego w Genewie i spotkania ze stałymi wówczas jej gośćmi — Briandem, Austenem Chamberlainem i Stresemannem.

Typowa dla atmosfery politycznej Genewy wzajemna ekscytacja spragnionych niezwykłości asów politycznego reportażu dochodziła do najwyższego napięcia. Tymczasem młocka formalnego materjału perjodycznych sesyj Rady Ligi, odrabiana tym razem pod przewodnictwem flegmatycznego i wiecznie uśmiechniętego delegata Chin, ministra Czeng-Loh, nie nastręczała sensacyj. Bagatelizowano też pierwsze posiedzenia Rady Ligi, pustkami świeciła ówczesna sala obrad, przerobiona z oszklonej werandy restauracyjnej hotelu „National", zajętego przez biura Ligi. Przepełnione natomiast były schody hoteli, w których zamieszkiwały delegacje pierwszoplanowe.

KULISY I PLOTKI

Sprawa polsko-litewska rozgrywała się za kulisami. Omawiano ją na niekończących się konferencjach szefów delegacyj. W dn. 3 — 7 grudnia trwał kontredans wizyt. Chodzili i jeździli Briand, Chamberlain, Stresemann, Scialoja, Adatci i Zaleski pomiędzy hotelami „des Bergues" i „Beau Rivage". Godzinami zalegali halle dziennikarze, czekając na ukazanie się postaci, któregoś z „wielkich genewczyków". Schodził, ten czy inny, szybko po schodach. Gestami raczej niż słowami bronił się przed pytaniami i znikał — bądź w drzwiach samochodu, bądź pokoju hotelowego. Nie bardzo wiedziano jak ruszyć z miejsca. Na marginesie sesji Rady toczyły się — jak zwykle — rozmowy na wszystkie aktualne tematy polityczne. Był w Genewie egzotyczny jeszcze wtedy gość — komisarz Litwinow. Nie należał wprawdzie Związek sowiecki do Ligi Narodów, ale brał już udział w pięcioletnich bezmała pracach „komisji przygotowawczej do powszechnej konferencji rozbrojeniowej". Wysiadując w hallu „Beau Rivage" w oczekiwaniu na wieści o sposobie załatwiania skarg litewskich, rozpamiętywało się echa rozmów Chamberlaina z Litwinowem na temat możliwości wznowienia zerwanych wówczas stosunków brytyjsko-sowieckich. Wiele dyskutowano również o możliwości poruszenia przez Stresemanna w rozmowie z Piłsudskim sprawy Pomorza i Gdańska. Otoczenie Stresemanna, a głównie jego „prawa ręka", Beer, twierdziło, że dojdzie napewno do „rozmowy decydującej". Korzystając z tego, że znajduje się na stole Ligowym zagadnienie polsko-litewskie, Stresemann zaproponuje „zamianę" Gdańska na Kłajpedę...

W pokojach hotelowych zastanawiano się tymczasem nad sposobem załatwienia skargi litewskiej, nad tem co w Genewie określa się słowem „procedura" a co przeważnie rozstrzyga o sposobie merytorycznego załatwienia sprawy.

Długo, bo od r. 1923, nie miała Liga Narodów do czynienia z zagadnieniem wileńskiem, przesądzonym w płaszczyźnie międzynarodowej decyzją Rady Ambasadorów, uznaną przez Ligę Narodów. Skargi pisemne i telegraficzne rządu Voldemarasa z dn. 15 i 24 października i 31 listopada 1927 r. powoływały się na art. 11 paktu Ligi, pomawiając Polskę o „przygotowywanie planu pozbawienia Litwy niepodległości". Istniały jednak deklaracje rządu polskiego z marca 1927 r. i nota z dn. 14 maja 1927 r., zapewniające o szczerej woli natychmiastowego nawiązania z Litwą stosunków dobrego sąsiedztwa. Istniały wreszcie oświadczenia sprzed kilku dni, ponawiające wyraz dobrej woli Polski wobec Litwy.

Jeżeli Polska deklaruje oficjalnie swe tendencje pokojowe i akcentuje je w oświadczeniu Piłsudskiego, a Litwa twierdzi, iż prowadzi wojnę z Polską — jakże pogodzić to z leżącym na stole Ligi oskarżeniem właśnie Polski o tendencje agresywne? Absurd był oczywisty, i nikt też nigdy nie zaprzeczał, że skonstruowana dla rapallskich celów przeciwpolska afera skargowa postawiła Radę Ligi Narodów w grudniu 1927 r. przed — absurdem. Nic w sytuacji nie mogły zmienić mowy Voldemarasa, wygłoszone na posiedzeniu Rady Ligi w dn. 7 grudnia, nic nie mogły zmienić nieustające konferencje szefów wielkich delegacyj i kierowników sekretarjatu Ligi z sir Eric Drummondem i olbrzymem japońskim Sugimurą na czele. Absurdu, oczywiście, nie można było „załatwić", sztucznie namotany węzeł trzeba było — przeciąć.

JEDZIE...

Po przygotowaniu terenu w Wilnie i Warszawie, po oświetleniu sprawy przez ministra Zaleskiego w odpowiedzi Voldemarasowi — przyszedł czas na cięcie. Nie mógł go jednak wykonać sekretarjat Ligi, obowiązany „nadać bieg" skardze litewskiej, nie mógł zdecydować się na radykalne pociągnięcie referent sprawy, holenderski minister Beelaerts van Blockland.

Przeciąć namotany węzeł mógł tylko ten, kto się sam tego zresztą podjął. Dn. 7 grudnia wyruszył w drogę do Genewy.

Wiadomość o wyjeździe Marszałka Piłsudskiego z Warszawy nadeszła do Genewy szybko. O godz. 20.45 wyjechał z Warszawy w towarzystwie ppłk Becka. Ubrany był w strój cywilny i historyczny szary szal, okręcony fantazyjnie dokoła szyi... Na dworcu odbył rozmowy z wicepremjerem Bartlem, zastępującym ministra Zaleskiego, podsekretarzem stanu Knollem, ambasadorem Laroche i gen. Tadeuszem Piskorem, szefem sztabu generalnego. Jedzie przez Niemcy, wagonem salonowym, w niewielkiej asyście. Wybrał drogę najkrótszą, nie przez Berlin, ale przez Saksonję. Wagon salonowy doczepiany będzie do kilku kolejno pociągów, przeważnie osobowych. Przybędzie do Genewy w piątek d. 9 grudnia, około południa.

Polityczna Genewa jakby przyczaiła się w oczekiwaniu. Ustały rokowania na temat brzmienia raportu ministra van Blocklanda i ewentualnych konkluzyj Rady Ligi. Nie chciała się angażować delegacja polska, nie chciał ustalać ostatecznych form proceduralnych ani sekretarjat Ligi, ani referent holenderski. Rada Ligi zebrała się na posiedzenie w dn. 8 grudnia w celu załatwienia kilku mniejszościowych spraw śląskich i sporów polsko-gdańskich. Nad niekończącą się serją raportów, wyjaśnień i rezolucyj pracowały dwie ekipy delegacji polskiej — wojewoda Michał Grażyński, Anatol Mühlstein, Mirosław Arciszewski i Tadeusz Gwiazdoski oraz Henryk Strassburger i Stanisław Zalewski. Szybko odrabiano formalne sprawy, załegające na porządku obrad Ligowych. Czyszczono stół, pozostawiając na nim tylko kapitalne zagadnienie polsko-litewskie.

Nad samem zagadnieniem jednak, nad zaciekawieniem, jakie budził sposób rozwiązania problemu, górowała postać Piłsudskiego.

Człowiek z legendy, człowiek-idea, miał zetknąć się na oczach trzech setek dziennikarzy, zawodowych podglądaczy kulis wielkości, z wielkimi technikami gry politycznej. Jak wypadnie to zetknięcie? Czy człowiek walki, władca, na którego skinienie tysiące szły na śmierć, przyjeżdża naprawdę tylko dla usłyszenia słowa „pokój"? Czy kryje inne zamiary i ma ukazać spod maski dyplomaty prawdziwe oblicze zaborczego zdobywcy? Jakież dramatyczne spięcie wróży spotkanie z „apostołem pokoju" — Briandem, ze Stresemannem, Chamberlainem — z historyczną „ekipą locareńską"... Przecież zawodowcy pokoju mają spotkać się z żołnierzem, człowiekiem wojny... I to już — jutro... Coś przecież musiało się stać, nie zdawano sobie tylko sprawy z tego — co...

Spodziewanie niezwykłości było tak wielkie, że wyczekiwano nawet sensacyjnych wieści o przebiegu samej podróży Marszałka.

Wiadomości jednak, bardzo skąpo napływające z Niemiec, mówiły jedynie, że — jedzie. Jest coraz bliżej, będzie napewno jutro w południe. Nerwowe napięcie oczekiwania narkotyzowano domysłami na tematy protokólarne, kolejności wizyt, akcentowano pikanterję spotkania ze Stresemannem i snuto przypuszczenia wokoło przewidywanego zetknięcia się z Voldemarasem.

PIŁSUDSKI W GENEWIE

Wczesnym rankiem dn. 9 grudnia wjechał Piłsudski na terytorjum szwajcarskie. Minister Zaleski z dyrektorem Szumlakowskim wyjechali samochodem do Renens — niemal godzina drogi od Genewy. Tam powitać mieli Marszałka, któremu już od granicy Szwajcarji towarzyszył poseł polski w Bernie Jan Modzelewski.

Na dworcu genewskim Cornavin było tłoczno przed przyjazdem pociągu. Delegacja polska, z ministrem Franciszkiem Sokalem naczele, dziennikarze międzynarodowi z prezesem Ligowej organizacji prasowej Williamsem, grupa studentów polskich, otaczająca ściskającą w dłoni bukiet czerwono-białych róż, rumianą ponad miarę panienkę. Na niezwykle zbudowany dworzec samochody wjeżdżały niemal pod stopnie wagonów. Nadjechał zawsze radosny, nieodstępny towarzysz Brianda w Genewie, delegowany przezeń na powitanie Marszałka, francuski konsul generalny Amé-Leroy, najpopularniejsza czarna, śpiczasta bródka kuluarów i sal Ligowych.

Jest! Przez cztery dni ubiegłe przeżywało się w imaginacji tę chwilę, a jednak ścisnęło coś za gardło. Jest! — wysiada, szybko zbiegł ze stopni wagonu. Naprawdę jest w cywilnem ubraniu — jak opisywały depesze. Palto czarne i szary kapelusz, tylko okręconego dokoła szyi szala niema: jest cieplej niż w Warszawie przy odjeździe. Witają się, niewiadomo czy podejść blisko, czy stać zdala. Nie wiadomo właściwie, jak się zachować. Panienka z kwiatami podeszła, dyga pięknie, wręcza kwiaty — nie słychać co mówi, ale słychać odpowiedź: „Dziękuję ci, dziecko"... — uśmiecha się do panienki, ktoś ją przegradza od Marszałka, ktoś się wita — wszystko się dzieje jakoś nierzeczywiście, przelatują myśli o tem że przecież trzeba depeszować do Warszawy o przyjeździe, że jest się tu nie poto, żeby zbliska patrzeć w oczy ocienione kapeluszem. Już wsiadł do samochodu. Ten wysoki z nim w ciemnem palcie z paskiem — to Beck, dalej — Michał Mościcki.

Powoli jechali przez miasto, wdół ku jezioru. Łatwo było wyprzedzić samochodem. Hotel „des Bergues". Tłum czekał przed drzwiami, zatłoczony hall. Wszystkie twarze Ligowych sal i korytarzy. Przed hotelem sprzedawano już przedwcześnie puszczone dodatki nadzwyczajne „Journal de Genève" z olbrzymim tytułem: „Maréchal Pilsudski à Genève".

Zaczęły się dwa wielkie dni pobytu w Genewie.

Spędził w niej dokładnie 38 godzin: — od godz. 11 dn. 9 grudnia do godz. 1 dn. 11 grudnia. Półtora dnia, jedną noc i jeden wieczór. Mieszkał w pokoju nr. 113, w hotelu „des Bergues". Hall hotelu nie opróżniał się do późnych godzin nocnych. Pusta była sala prasowa Ligi i kuluary. Dziennikarze wysiadywali na reprezentacyjnych schodach „des Bergues" i konstruowali przebieg wypadków na podstawie „va et vient" postaci politycznych.

POPOŁUDNIE PRZYGOTOWAŃ

Marszałek, od chwili przyjazdu, przez cały dzień piątkowy, 9-go, nie opuszczał hotelu. Śniadanie odbyło się w apartamencie ministra Zaleskiego. Jedyni goście cudzoziemscy, to Briand i Paul-Boncour. Na czarną kawę, po śniadaniu, przyszedł Chamberlain. Francuzi wyszli wkrótce. Z Chamberlainem rozmawiał Piłsudski półtorej godziny. Wychodząc, sir Austen dziennikarzom nic o rozmowie nie powiedział.

Było już dobrze po godz. 16, w wypełnionym hallu zapalono światła, dziennikarze zaczęli się zastanawiać, czy wogóle tak wspaniale zapowiadający się dzień przyniesie coś konkretnego, bo to i posiedzenia Rady nie zwołano i właściwie o żadnych rokowaniach nic słychać nie było, kiedy — jak prądem elektrycznym rażeni — porwali się z pąsowego dywanu schodów, zesztywnieli: — z kołowrotu drzwi wypadł na oświetlony środek hallu mały, krępy człowiek w czarnym, krótkim płaszczu i czarnym, miękkim kapeluszu, głęboko wciśniętym na czoło: — Voldemaras... Krótkiemi kroczkami przebiegł przestrzeń dzielącą go od schodów i nie odpowiadając na pozdrowienia dziennikarzy, ruszył cwałem nagórę — do kogo? Przypuszczenie, jak błyskawica, przeleciało po hallu — do Piłsudskiego!! A w następnej sekundzie wszystkie telefony, którymi „des Bergues" dysponuje na parterze, były zajęte. „Spotkanie dwóch wrogich dyktatorów" — anonsowano w Paryżu, w Nowym Jorku i w Londynie.

Voldemaras szedł jednak do Brianda. Był u niego niespełna kwadrans i wyszedł, opędzając się ręką od pytań dziennikarskich. Szybkim krokiem przeszedł most na Rodanie i zniknął w drzwiach hotelu „de l'Ecu". Mieszkał tam zawsze, ilekroć przyjeżdżał do Genewy. Briand po rozmowie z Voldemarasem poszedł do Marszałka, poczem wezwał do siebie referenta, ministra van Blocklanda. Piłsudski zaś przyjmował kolejno Drummonda, sekretarza generalnego Ligi, i jego zastępcę, Japończyka Sugimurę.

Wieczorem zasiadł do stołu z delegacją polską, bez cudzoziemców. Obiad ciągnął się długo. Marszałek jadł mało, najprzód rozmawiał z ożywieniem, a potem długo opowiadał. Snuł wspomnienia samotnych wieczorów listopadowych 1918 r., pierwszych wieczorów, spędzonych w Belwederze w obliczu konieczności podejmowania decyzji natychmiast we wszystkich zagadnieniach, w obliczu „zalewającego Polskę morza bolszewickiego" — jak mówił. A potem opowiadał o maju 1926 r., o warunkach, w których zdecydował objąć ponownie władzę. Pogrążył się w rozpamiętywaniach i mówił jak gdyby dla siebie tylko. Niemal nie dostrzegał obecnych. Tuż przed północą przeszedł do swego pokoju z ppłk. Beckiem. O północy przyjął jeszcze van Blocklanda na długiej rozmowie. Położył się o godz. 3. Wstał dn. 10, o godz. 8. Na 38 godzin pobytu w Genewie spał godzin 5.

Zwyczajowych wizyt członkom Rady Ligi nie składał. Zastąpiły go bilety wizytowe. Jeszcze w ciągu popołudnia piątkowego do sekretarjatu delegacji polskiej zaczęły napływać wizytówki „rewizytowe". Pierwszy złożył bilet Dandurand, delegat Kanady. Druga skolei padła na tacę lokaja wizytówka Stresemanna, trzecia — Scialoji, za niemi — inne.

PIŁSUDSKI PRZYŚPIESZA DZIAŁANIE

Kiedy nadawano telefonami wiadomości w nocy z piątku na sobotę do sobotnich dzienników porannych, plan załatwienia konfliktu polsko-litewskiego nie był znany. Do Warszawy połączenia telefonicznego z Genewy jeszcze wówczas nie było. Nadawaliśmy depesze, byliśmy w rozpaczy. Oprócz opisu przyjazdu, śniadania, wizyt — ani słowa o przebiegu rozmów i rokowań nie można było podać spragnionej wieści Polsce. Nie można było zapuszczać się w żadne przewidywania. Rzecz szła opornie. Piłsudski informował swych rozmówców o swoim punkcie widzenia na zagadnienie litewsko-polskie. Kategorycznie obalił mniemania, jakoby miał zamiar domagać się jakiejkolwiek deklaracji litewskiej o wyrzeczeniu się Wilna. Nie żądał również od Rady Ligi żadnych stwierdzeń na temat Wil-

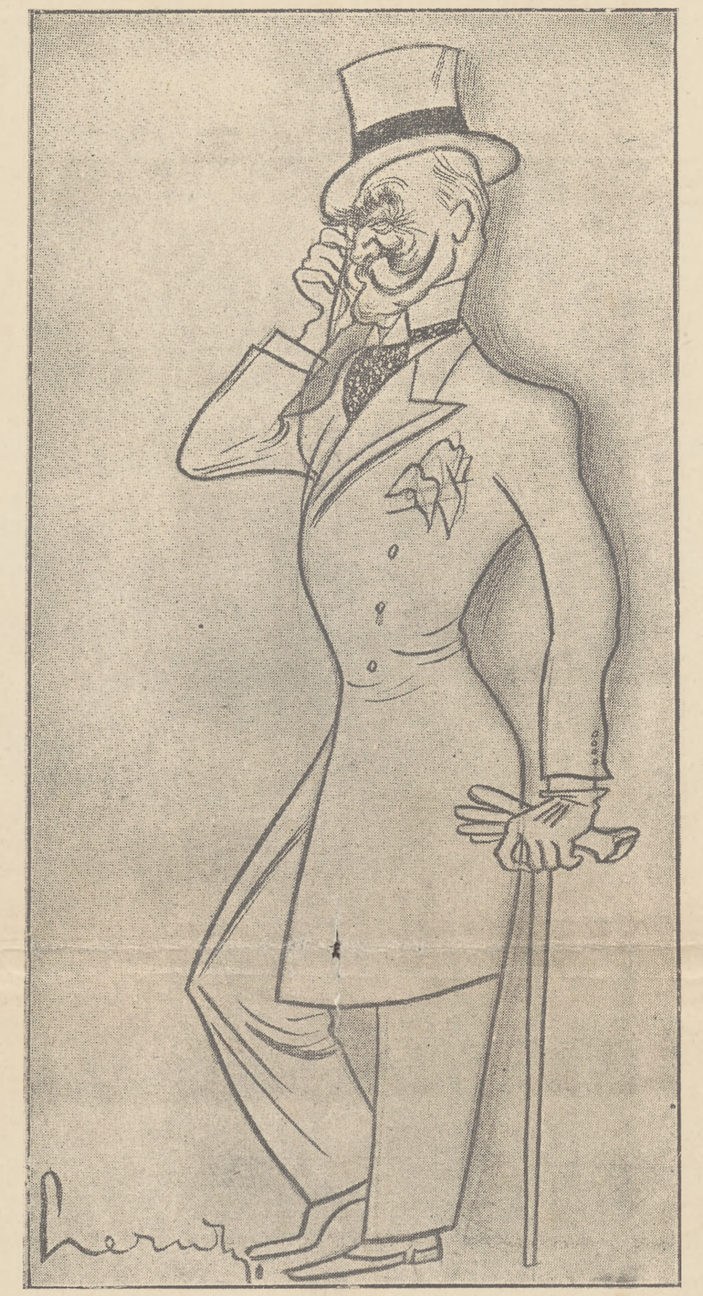

rys. **Zdzisława Czermańskiego**
(„Cyrulik Warszawski", 1927)

cy**WILNIE i szyKOWNIE**

rys. **Zdzisława Czermańskiego**
(„Cyrulik Warszawski", 1927)

„Pomalušku Józefie, pomalušku proszę" (w wykonaniu pp. Brianda i Sokala)

rys. **Władysława Daszewskiego**
(„Cyrulik Warszawski", 1927)

„Waldema — raz — dwa — trzy"

na. Oświadczył Briandowi i Chamberlainowi, że sprawę Wilna uważa za załatwioną i zamkniętą. Nie żądał również bezzwłocznego nawiązania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską i Litwą. Żądał oświadczenia przez Voldemarasa i potwierdzenia przez Radę Ligi, że stan wojny nie istnieje na granicy polsko-litewskiej. Żądał stwierdzenia, że jest pokój, i żądał działania szybko, bo — zapowiedział — musi wyjechać w sobotę wieczorem. Ma pilne sprawy w Warszawie i nie zgadza się na przewlekanie nużącej go procedury genewskiej. Członkom delegacji polskiej mówił, że musi być w Warszawie na poniedziałek, 12 grudnia, choćby wieczorem, bo to dzień imienin żony, a zwykł składać jej życzenia osobiście i nie widzi powodu odstępowania od tego zwyczaju... „Więc — mówił — niech się śpieszą, bo ja muszę jechać, a przedtem sprawę załatwić"...

W ramach możliwości Ligi i genewskiej rutyny załatwienie sprawy wedle życzeń Marszałka nastręczało jednak trudności, zdawało się, nie do pokonania. Przecież puszczono w tryby procedury formalne skargi litewskie, powołujące się na art. 11 paktu Ligi, mówiący: „...stwierdza się, że każda wojna, lub groźba wojny, o ile dotyczy bezpośrednio lub pośrednio jednego z członków Ligi Narodów, obchodzi Ligę jako całość i Liga powinna zastosować środki, zapewniające utrzymanie pokoju pomiędzy narodami".

Przecież referent musiał przygotować raport, rezolucję. Przecież trzeba było stwierdzić, czy Polska naprawdę nie przygotowuje najazdu na Litwę.

Piłsudski grał jednak na ambicjach Ligowych. Briandowi, Chamberlainowi, Drummondowi, Sugimurze, van Blocklandowi mówił, iż pragnie ażeby Liga Narodów wykazała światu, że jest zdolna do załatwienia niebezpiecznego konfliktu. Niechże więc powstanie dokument Ligowy, na który Voldemaras się zgodzi a który będzie orzekał, że pomiędzy Polską i Litwą wojny niema!! Dla pacyfistów genewskich perspektywa była łakoma...

Z drugiej strony działał Voldemaras. Po rozmowie jego z Briandem, Litwinowem i Stresemannem — wiadomo było w hallu „des Bergues", że Voldemaras zapłaciłby własną głową za ustępstwo, któreby uczynił Piłsudskiemu. Voldemaras twierdził, że skoro spełni żądanie Piłsudskiego — będzie obalony. Nie może wracać do Kowna. Mówił, że nawet tu, w Genewie, przebywa delegacja polityków litewskich, którzy grożą mu niechybnem obaleniem, jeżeli podda się naciskowi, jaki za sprawą Piłsudskiego wywrzeć nań zechce dyplomacja międzynarodowa. Rozmowy z Voldemarasem wykazały, że gotów jest na żądanie Piłsudskiego uznać stan pokoju pomiędzy Polską i Litwą pod jednym nieodwołalnym warunkiem: — skoro Rada Ligi wypowie się oficjalnie, że sprawa wileńska nie jest załatwiona! Taki dokument może Voldemaras zawieźć do Kowna. Za każdy inny — zapłaci utratą władzy, dymisją, wygnaniem. Litwa — straszył — pogrąży się w odmęty rewolucji, zagrażającej pokojowi.

W tym stanie rzeczy zakończono dzień piątkowy, bez planu działania na sobotę, na dzień, w którym Piłsudski chciał wyjechać. Jedyne ustalenie, to zakomunikowana prasie nieoficjalnie, późną nocą, decyzja wysłania na granicę polsko-litewską trzech obserwatorów wojskowych z Warszawy. Pojadą: brytyjski attaché wojskowy płk. Bridge, włoski attaché wojskowy płk. Roatta i płk. Faury, dyrektor nauk w warszawskiej Wyższej Szkole Wojennej. Towarzyszyć im będzie rtm. Aleksander Łubieński ze sztabu generalnego.

W pośmiertnem wydaniu papierów politycznych Stresemanna znajduje się notatka, głosząca iż tegoż wieczoru piątkowego, po rozmowie z Piłsudskim i Briandem, przystąpił van Blockland do szkicowania dla Rady Ligi projektu rezolucji, która miała zakończyć rozpatrywanie konfliktu polsko-litewskiego na forum genewskiem. Konkluzje tej rezolucji wyłoniły się nazajutrz.

„WOJNA CZY POKÓJ?"...

W sobotę, dn. 10, dzień pracy rozpoczął się wcześnie. Nalegania Piłsudskiego spowodowały, że zarówno aparat sekretarjatu generalnego Ligi jak i biura wielkich delegacyj — brytyjskiej, japońskiej, francuskiej, niemieckiej i włoskiej — rozpoczęły porozumiewanie się pomiędzy sobą i delegacją polską już około godz. 8. Stwierdzono szybko, że w drodze zakulisowych rokowań, do rozwiązania, jakiego domagał się Piłsudski, dojść nie będzie można, szczególnie wobec skrócenia przezeń czasu do minimum. Postanowiono wobec tego zaatakować zagadnienie wprost, zaryzykować. Skoro zawiodły metody pokątnego „uzgadniania" — nie było naprawdę innego wyjścia. Zwołano na godz. 11 tajne posiedzenie Rady Ligi, upewniono się, że przybędzie na nie Piłsudski i — zaproszono Voldemarasa. Na porządku obrad zebrania postawiono zapoznanie się z projektem raportu i rezolucji van Blocklanda.

Zgromadzony w parterowym hallu tymczasowej siedziby Ligi „świat genewski" widział Piłsudskiego po raz pierwszy. Przyjechał samochodem z ppłk. Beckiem, bezpośrednio za nim — minister Zaleski z członkami delegacji. Voldemaras z eleganckim, wyższym o głowę od swego szefa delegatem litewskim do Ligi, przyszłym ministrem spraw zagranicznych Zauniusem, przybył na chwilę przed Marszałkiem. Kolejno, wolnym krokiem, wstępowali na schody, wiodące na pierwsze piętro do gabinetu sir Erica Drummonda „wielcy z Locarno" — Briand, Stresemann, Chamberlain, Scialoja, maleńki o pomarszczonej twarzy, zakończonej minjaturą bródki baron japoński Adatci, uśmiechnięty Chińczyk Czeng-Loh.

Drzwi gabinetu sir Erica zatrzasnęły się przed dziennikarskimi nosami i pozostały zamknięte przez przeszło godzinę. W kącie sali prasowej grupa dziennikarzy polskich denerwowała się w swojem gronie, wysłuchując nauk i przewidywań doświadczonych bywalców Genewy: nieśmiertelnego „Dyzia" — Wacława Orynga, Kazimierza Ehrenberga i Leona Chrzanowskiego. Niemal co chwilę odrywał się ktoś od podekscytowanej grupy, wbiegał na schody, spoglądał jak urzeczony na zamknięte drzwi gabinetu sekretarza generalnego Ligi i mówiąc: „jeszcze nie..." — powracał do rwącej się rozmowy.

Nie sposób stwierdzić, jak się stało, że Sauerwein wiedział co się działo za zamkniętemi drzwiami jeszcze w trakcie posiedzenia. Zbiegł ze schodów, przypadł do grupy polskiej i wystukując ołówkiem rytm na guzikach czyjejś kamizelki, szeptał: „Il a coupé court, il a posé la question à Voldemaras — la paix ou la guerre? — et Voldemaras a répondu — la paix! — voilà, tout est fini"...

Wiadomość potwierdziła się po kwadransie, kiedy na schodach ukazali się pierwsi uczestnicy tajnego posiedzenia. Nie taili niczego, byli uśmiechnięci, kamień spadł wszystkim z serca, udało się uniknąć kompromitacji Ligi, którąby była oczywista, gdyby się nie miało dojść do zgodnego stwierdzenia, że pomiędzy Litwą i Polską wojny niema. Postawienie sprawy przez Piłsudskiego, ostre, bezpośrednie natarcie na Voldemarasa i wymuszenie na nim odpowiedzi, stworzyło możliwość opracowania przez van Blocklanda dokumentu, w którym przedpołudniowa wymiana słów byłaby ubrana w formuły, wymagane przez zwyczaj genewski.

Marszałek wychodził jeden z ostatnich. Powoli schodził ze schodów, rozglądając się z zainteresowaniem po kotłującem się w hallu mrowiu ludzkiem. Miał minę rozbawionego widza w cyrku. Tłum dziennikarzy wyległ za nim przed wejście, pod które podjeżdżały samochody. Palił papierosa, oczekując samochodu, zamienił kilka słów z ppłk. Beckiem, wreszcie wsiadł, ścigany przez setki oczu. Samochód skierował się na wybrzeże jeziora, skręcił w lewo, na Quai Wilson. We dwóch z ppłk. Beckiem pojechał Marszałek na spacer wzdłuż jeziora, w stronę Lozanny. Po pół godzinie kazał zawrócić, przejechał kilka ulic Genewy i krótko po godz. 1 był z powrotem w „des Bergues". O godz. 1.30 rozpoczęło się śniadanie wydane przez Brianda.

DLA STRESEMANNA — OPOWIEŚĆ O MAGDEBURGU

Do stołu, zastawionego w apartamencie reprezentacyjnym delegacji francuskiej na drugim piętrze „des Bergues", zasiadł obok gospodarza Marszałek, a wokół stołu Loucheur i Paul-Boucour z delegacji francuskiej, Stresemann, Chamberlain, Scialoja i minister Zaleski. O kwestji litewskiej już nie mówiono. Zainteresowanie wszystkich skupiało się natomiast na rozmowie, jaką prowadzą za sobą Piłsudski i Stresemann. Było wiadome w tem gronie, że Stresemann ma zamiar dotknąć tematu Pomorza. Sam mówił o tem Briandowi i Chamberlainowi. Marszałek prowadził przy stole rozmowę ze wszystkimi, przy czarnej kawie jednak — podanej w salonie — stało się tak że Stresemann siadł obok niego. Najbliżej siedzieli Scialoja, Briand i Chamberlain. Zupełnie niespodziewanie Marszałek skierował rozmowę na temat w tej chwili i w obliczu zamiarów Stresemanna najbardziej niemiły dla niemieckiego męża stanu. Zaczął mówić o aresztowaniu go przez Niemców i uwięzieniu w Magdeburgu, z uśmiechem wypytywał Stresemanna o mjr. P., który go eskortował do twierdzy magdeburskiej, chwalił swego konwojenta jako służbistego, dzielnego oficera, pytał, co się z nim dzieje. Biografka Stresemanna, Antonina Vallentin, podaje że Stresemann był skonsternowany, ale konsternacja jego dosięgła szczytu kiedy Piłsudski posunął żart dalej i począł go wypytywać, dlaczego właściwie nie został w Magdeburgu rozstrzelany, bo „przecież kto inny takby napewno zrobił".

Rozmowa toczyła się po niemiecku. Briand, nie rozumiejący ani słowa, wiercił się niespokojnie na krześle, zaniepokojony wesołością Piłsudskiego i przysłuchującego się Scialoji, rozumiejącego po niemiecku, oraz grobową miną Stresemanna. Rozmowa o Magdeburgu trwała długo, tak długo, że do rozmowy o Pomorzu w tej sytuacji już nie doszło. Pani Vallentin twierdzi, że Stresemann apelował jeszcze raz do Brianda, a następnie do Chamberlaina o poruszenie sprawy Pomorza. Obaj doradzili mu — złośliwie, jak sądzi pani Vallentin — zwrócenie się bezpośrednio do Piłsudskiego, „z którym przecież tak czarująco Pan prowadził rozmowę" — miał dorzucić Briand.

REZOLUCJA „SMAŻYŁA" SIĘ DŁUGO

Po śniadaniu u Brianda powrócił Piłsudski do swego pokoju i nie opuszczał go przez popołudnie i wieczór. Przyjmował raporty delegacji polskiej o stanie rokowań międzydelegacyjnych. Specjaliści sekretarjatu Ligi od „smażenia" rezolucji Ligowych dobierali słowa i odważali zwroty, które miały się znaleźć w dokumencie uznającym zakończenie stanu wojny pomiędzy Polską i Litwą. Delegację polską reprezentowali w tej misternej żonglerce słowami i pojęciami Arciszewski i Gwiazdoski. Na zmianę, jeden lub drugi, wpadali do pokojów Marszałka, ministra Zaleskiego, lub ppłk. Becka, przedstawiając taką czy inną formułę. Piłsudski nie interesował się szczegółami. Zgodnie z tem co oświadczył rano na tajnym posiedzeniu Rady, pozostawił je ministrowi Zaleskiemu i jego współpracownikom. Istotną dlań częścią rezolucji było tylko stwierdzenie wstępne, brzmiące w tekście ostatecznym: „...przyjmując do wiadomości solenne oświadczenie przedstawiciela Litwy, że Litwa nie uważa się za będącą w stanie wojny z Polską i że wobec tego oba kraje pozostają w stanie pokoju"...

Opracowanie tekstu napotkało jednak jeszcze na przeszkody. Delegacja litewska, zmuszona do odwołania oskarżenia Polski o przygotowanie najazdu na Litwę, przypomniała zarzuty dawniejszych skarg litewskich do Rady Ligi, a mianowicie oskarżenia o prześladowanie Litwinów na Wileńszczyźnie, kwestje szkolne, językowe i t. d. Równocześnie pomiędzy dziennikarzy i delegacje puszczono ze strony litewskiej wieści, że jednak plan marszu polskiego na Kowno jest gotowy. Wedle tego planu — szeptano sobie do ucha w sali prasowej — wojska polskie w ciągu trzech dni zajmą Kowno i zanim świat zdąży się zorjentować, osadzi Polska w Kownie uległy sobie rząd, złożony z emigrantów litewskich, przeciwników dyktatury Voldemarasa, zamieszkałych w Wilnie. O działalności tych emigrantów opowiadano sobie najfantastyczniejsze rzeczy. Sam Voldemaras twierdził, że działalnością ich kieruje ówczesny poseł na Sejm Karol Polakiewicz i Łukasiewicz, wówczas poseł polski w Rydze. Równocześnie nadchodziły z kwatery litewskiej w hotelu „de l'Ecu" wiadomości o wielkiem podnieceniu w Kownie, gdzie dnia poprzedniego, w piątek, w chwili gdy Piłsudski przybywał do Genewy, odbyło się w katedrze kowieńskiej w obecności prezydenta Smetony i całego rządu litewskiego uroczyste nabożeństwo na intencję pomyślnego wyniku obrad genewskich.

Nadeszła również z delegacji litewskiej wiadomość o wyjeździe z Kowna na granicę polsko-litewską dwóch komisyj w dość oryginalnym składzie osobowym. Jedną z nich stanowi poseł niemiecki w Kownie von Morath, kpt. Klein z poselstwa niemieckiego i oficer litewski kpt. Kirlis. Komisja ta pojechała oglądać granicę w okolice Kalwarji, podczas gdy druga komisja — sekretarz poselstwa włoskiego w Kownie Marini, francuski attaché wojskowy kpt. Archer i oficer litewski kpt. Grinius — pojechała w stronę Poniewieża.

Około godz. 19 w gmachu Ligi zaczęło się przerzedzać. Zwołanie posiedzenia o tak późnej godzinie zdawało się zupełnie niewiarogodne z wielu przyczyn. Przedewszystkiem nie wierzono już w możliwość dojścia do porozumienia na temat brzmienia uchwały. Stanowisko delegacji litewskiej zmieniło się wyraźnie od przedpołudnia. Sekretarjat Ligi wysłał pod wieczór do hotelu „de l'Ecu" najrzeczniejszego z negocjatorów, Sugimurę. Olbrzym japoński powrócił jednak do gmachu Ligi niepokojąco szybko. Wysiadającego z samochodu otoczył żywy mur dziennikarzy, zasypując pytaniami. Odpowiedział, że nie zastał Litwinów w hotelu. Znikając w drzwiach gabinetu sir Erica Drummonda szepnął swemu zaufanemu, japońskiemu urzędnikowi prasowemu Szigetoku, kilka słów, które — zwyczajem kuluarów Ligowych — ani przez chwilę nie utrzymały się w tajemnicy: — „Litwini są w hotelu „Métropole", a tam mieszkają tylko dwie delegacje, niemiecka i japońska. Jestem przekonany, że nie są u naszych rodaków"... Czyżby Stresemann przystąpił do działania?... Sytuacja stawała się z godziny na godzinę bardziej niezrozumiała.

KARNAWAŁ W LIDZE NARODÓW

W tym stanie rzeczy Marszałek raz jeszcze przystąpił do akcji. Po naradzie jego z ministrem Zaleskim i ppłk. Beckiem delegacje francuska i angielska zostały poinformowane, że czekać nie będzie. Walizy są zapakowane i bezwzględnie wyjeżdża. Do północy więc poranne oświadczenie Voldemarasa musi być utrwalone w postaci uchwały Rady Ligi, musi...

Sir Eric został z kwatery angielskiej w „Beau Rivage'u" powiadomiony telefonicznie, że życzenie Marszałka jest również życzeniem Brianda i Chamberlaina. W „de l'Ecu" dyżurował urzędnik sekretarjatu Ligi, mający polecenie przywieźć Voldemarasa do Ligi natychmiast po jego powrocie z tajemniczej wycieczki do „Métropole".

O tym jednak dziennikarze o godz. 19 nie wiedzieli. Wiedzieli natomiast, że natrafiono na wielkie trudności, a pozatem są dwie inne przyczyny, które pozwalają sądzić, że posiedzenia Rady już tego wieczora sobotniego nie będzie. Była sobota, „week-end", w którym z reguły nic się w Genewie nie dzieje. Pozatem był 10 grudnia, dzień karnawału genewskiego. Na pamiątkę uratowania Genewy przed wojskami sabaudzkiemi kanton genewski obchodzi od kilku wieków w tym dniu wesołe święto. Nazywa się to „l'Escalade", polega poprostu — na weseleniu się. Po ulicach od zmierzchu przeciągają pochody masek, ludzie tańczą przy dźwiękach przygrywających na placach orkiestr, w restauracjach hotelowych widać tylko fraki i balowe stroje pań. Zabawa, potężnie podlewana winem, trwa do świtu. W czasach, kiedy Rada Ligi zbierała się jeszcze cztery razy rocznie a nie trzy, jak obecnie, — we wrześniu, w grudniu, w marcu i czerwcu, — było tradycją że członkowie Rady, urzędnicy delegacyjni i Ligowi święcili 10 grudnia „eskaladę" wraz z ludkiem genewskim.

Szybko więc przygotowywano sprawozdania telefoniczne do agencyj i dzienników, kończąc je przeważnie znakiem zapytania. Śpieszono do hotelów, trzeba się było przebrać we frak, śpieszyły się panienki z telefonów międzymiastowych sali prasowej — gmach Ligi szybko pustoszał.

Dziennikarze, którzy dłużej czekali na połączenia telefoniczne i opuszczali sale Ligowe później, około godz. 20, zawrócili jednak od drzwi wejściowych: wychodząc natknęli się na Voldemarasa, który w towarzystwie urzędnika sekretarjatu śpieszył o tej niezwykłej godzinie do sir Erica. Rozmowa trwała do godz. 20.45, poczem — rozdzwoniły się wszystkie telefony Ligi i hoteli genewskich. Zwoływano posiedzenie Rady Ligi Narodów. Na godz. 22.30. Na dzień 10 grudnia 1927 r., mimo soboty, mimo „eskalady", po raz pierwszy w ciągu siedmioletnich dziejów Ligi o tak niezwykłej porze.

Dziennikarzy polskich zaalarmował Henryk Korab-Kucharski, zawiadomiony przez delegację francuską jako korespondent „Matin". Wieść brzmiała tak bardzo nieprawdopodobnie, że mimo autorytetu Korabia, sprawdziliśmy w sekretarjacie Ligi. Potwierdzili. Chwila narady — fraki zrzucać czy nie? — nie! — jedziemy we frakach, podobno zresztą wszyscy już są przebrani...

Nigdy przedtem i nigdy potem sala obrad Rady Ligi nie przedstawiała takiego widoku jak owego sobotniego wieczora. Olbrzymią, oszkloną z jednej strony werandę, oświetlały wielkie żyrandole i mnóstwo kinkietów. Wokoło półkolistego stołu Rady zajmowały miejsca sekretarki i stenografki — wszystkie w strojach balowych. Przerwano im zabawę, obiecując, że przed północą będą mogły wrócić do roztańczonych sal. Wewnątrz półkola — tłumacze, we frakach. Miejsca dla dziennikarzy zatłoczone, niemal wszyscy wyfraczeni. Członkowie Rady spóźniają się. Samochody nie mogą przedostać się przez zapełnione pochodami masek ulice. Kolejno wchodzą na salę członkowie 14-osobowego areopagu. Z wyjątkiem Brianda i Stresemanna, a łącznie z Adatcim i Czeng-Loh — wszyscy we frakach. Chamberlain wprowadza do loży dyplomatycznej majestatyczną małżonkę w przepięknej jasnoniebieskiej szacie, przybranej perłami. Całość robi wrażenie uroczystości, rautu, wielkiej premjery. Krótka chwila dociekań, kto zasiądzie na miejscu Polski przy stole Rady: — Marszałek czy Zaleski? Na odpowiedź nie trzeba długo czekać. Wszystkie oczy zwracają się ku drzwiom głównym. Wszedł Piłsudski. Czarna marynarka, biały kołnierzyk, szaro-srebrny krawat. Wesołem i jakby zdziwionem spojrzeniem rozgląda się po sali, na której gwar rozmów cichnie tak dokładnie że słychać szelest odsuwanych po dywanie krzeseł. Marszałek przechodzi wąskiem przejściem pomiędzy miejscami dla prasy i lożą dyplomatyczną, idzie w kierunku podjum, na którem ustawiony jest stół Rady. Nie mija jednak barjery oddzielającej Radę od dziennikarzy. Zatrzymuje się przy pierwszym pulpicie prasowym, graniczącym z lożą członków delegacyj i skłoniwszy się szybkim, nieznacznym ruchem głowy przewodniczącemu Rady, siada obok stale miejsce to zajmującego senjora dziennikarzy ligowych, siwego o purpurowej twarzy Werndella, korespondenta agencji Reutera. Za Marszałkiem siada ppłk. Beck, a minister Zaleski mija barjerę i zajmuje zwykłe miejsce delegata Polski, przy stole Rady, za nim — minister Sokal.

HISTORJA ROBI SIĘ 25 MINUT

Cisza trwa, chiński przewodniczący ujął młoteczek i wzniósł go do uderzenia o stół na znak rozpoczęcia posiedzenia, kiedy niespodziewanie sir Austen Chamberlain podnosi się z miejsca, kilkoma krokami długich, cienkich nóg przemierza podjum, kieruje się w stronę loży dyplomatycznej, szepce kilka słów lady Chamberlain i po chwili wraz z nią zmierza ku Piłsudskiemu.

Skolei powstaje Marszałek, serdecznym, długim uściskiem dłoni wita się z Chamberlainem, który powiada, pięknym ruchem wskazując na swą małżonkę: „Vous permettez, Maréchal, que je vous présente lady Chamberlain"... Nastąpiło powitanie. Znawcy protokółu dworu angielskiego długo komentowali niezwykły sposób prezentacji... Czeng-Loh trwa z nieznikającym uśmiechem na ustach i wzniesionym młoteczkiem w ręce. Jak Chińczyk na paczkach z herbatą. Nikt jednak nie patrzy na niego. Pięćset par oczu obserwuje scenę rozgrywającą się w pierwszej ławie prasowej.

Sir Austen odprowadził małżonkę na miejsce, powrócił na swój fotel na podjum, i wówczas Chińczyk stuknął, otworzył posiedzenie, zapraszając do stołu Rady delegata Litwy. Z bocznej loży szybkim, energicznym krokiem wyszedł Voldemaras — nie we fraku — i skłoniwszy się w stronę przewodniczącego, zajął miejsce „strony w zatargu", u końca pokrytej czerwonym suknem podkowy stołu.

Była godz. 22.50 — dwadzieścia minut spóźnienia — i może dlatego, a może z powodu „eskalady" wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko.

Referent van Blockland odczytał swój raport, przedstawiający pokrótce przebieg zatargu polsko-litewskiego i rokowań. Potem — projekt rezolucji, ten projekt w mękach narodzony, w którym każde słowo, każdy zwrot mierzono i ważono przez cały dzień. Więc, akcentując każde słowo, że Rada uznaje stan pokoju, istniejący pomiędzy Polską i Litwą, a potem szybko, że kwestje traktowania mniejszości narodowych rozpatrzy „komitet trzech", Rada zaleca obu stronom przystąpienie do bezpośrednich rokowań i służy im techniczną pomocą Ligi. Poranne oświadczenie Voldemarasa, że Litwa nie jest w stanie wojny z Polską, znalazło się w rezolucji, zostało publicznie, uroczyście, ostatecznie stwierdzone. Nawet znalazło się w rezolucji określenie oświadczenia Voldemarasa, jako „déclaration solenelle" (uroczysta).

Minister Zaleski krótko oświadcza, że imieniem Polski rezolucję i raport sprawozdawcy przyjmuje. Sakramentalne tłumaczenie na angielski, i — jak echo — niemal w tych samych słowach, deklaruje swą zgodę Voldemaras. Chińczyk stwierdza, że nikt więcej o głos nie prosi i dziecięcą francuszczyzną ogłasza, że rezolucja jest przyjęta jednogłośnie. Sala reaguje niezwykle — grzmot oklasków zmusza Czeng-Loh do wielokrotnego stukania młoteczkiem w stół. Dziennikarze, ci z agencji, dla których droga jest każda sekunda, skacząc przez krzesła i pulpity, biegną do budek telefonicznych. Hałas zagłuszył słowa podziękowania dla Rady, wygłoszone w krótkich formułach przez Zaleskiego i Voldemarasa.

Wszystko razem trwało niespełna dwadzieścia pięć minut. Stał się pokój pomiędzy Polską i Litwą. Wywalczył go Piłsudski. Na przestrzeni dwóch tygodni przemienił się z oskarżonego w oskarżyciela, wytrącił rappalskim partnerom atuty z rąk, zagrał w Wilnie i w Genewie stawką najwyższą i — zwyciężył.

POŻEGNANIE Z GENEWĄ

Teraz powstał, zamienił kilka słów z ppłk. Beckiem i mijając barjerę, wolno szedł na podjum, zbliżając się do stołu Rady, od którego już powstawano. Metodycznie, zaczynając od siedzącego na prawem skrzydle stołu członka Rady, ściskał kolejno dłonie, zdobiąc uśmiechem pod wąsem słowa kurtuazyjnej podzięki i pożegnania. Przy van Blocklandzie zatrzymał się dłużej. Nawiązując do odbytej w „des Bergues" figlarnej rozmowy na temat wojskowych i cywilów, żartował holenderski minister spraw zagranicznych: „Czy Pan Marszałek zadowolony z cywilów? jednak szybko załatwili"... Wyżej podniosły się w uśmiechu wąsy Piłsudskiego: „Załatwiliście szybko, bo wojskowy pomagał"... Tubalnie roześmiał się Briand, stojący obok. Stresemann położył na wyciągniętej prawicy Marszałka obie dłonie. W notesach prasowych zaznaczono, że to pożegnanie było szczególnie serdeczne. Ostatni, na lewem skrzydle stołu, stał Voldemaras, zbierając do teki papiery. Piłsudski energicznym ruchem wyciągnął doń rękę. Uścisk był krótki i mocny. Voldemaras skłonił się głęboko. Stałem obok i słyszałem: „Adieu, panie Voldemaras!..." i „Adieu!" dyktatora Litwy.

Lewą stroną sali szedł Marszałek ku drzwiom, wzdłuż szpaleru urzędników międzynarodowych i dziennikarzy. U drzwi czekał sir Austen z małżonką. Marszałek zatrzymał się. Lady Chamberlain nawiązała rozmowę: „Nie wyobrażałam sobie Pana, Marszałku, w ubraniu cywilnym. Widziałam fotografje Pana tylko w mundurze"... Piłsudski z uśmiechem: „Będę się mógł Pani sprezentować w mundurze, kiedy Państwo przyjadą do Warszawy". Jeszcze jeden ukłon i pożegnanie. Słyszeliśmy rozmowę, i poszła wobec tego do Warszawy nieprawdziwa wiadomość, głosząca, że sir Austen Chamberlain przybędzie wkrótce do Warszawy z małżonką na zaproszenie Marszałka. Nieprawda, wcale nie mieli przybyć.

Palto i kapelusz Marszałka pozostał w małym pokoiku dyżurnego urzędnika Ligi, przy głównem wyjściu. Do tego pokoiku skierował się wraz z ppłk. Beckiem.

„MIAŁBYM KILKA SŁÓW DLA PRASY"...

Czterech dziennikarzy polskich powiedziało sobie w tym momencie: teraz, albo nigdy!... Trzeba było zdobyć wywiad z Marszałkiem. Powzięcie decyzji i wykonanie jej musiało być dziełem jednej chwili. Czasu było tyle ile trzeba było Piłsudskiemu na włożenie palta. Wokoło drzwi pokoiku cisnęły się dobre dwie setki dziennikarzy, polujących na kilka bodaj słów wychodzącego tryumfatora. Jeżeli go otoczą — przepadło... Chrzanowski wszedł pierwszy. Zwrócił się do ppłk. Becka, Marszałek zainteresował się o co chodzi i — zgodził się. Przez uchylone drzwi widzieliśmy przyzwalające skinienie głową. Weszliśmy. Było nas w pokoiku czterech: — Chrzanowski, Marjan Ołtaszewski, Wrzos i ja. Zamknęliśmy drzwi przed ciżbą i najśmielszy — Chrzanowski — zwrócił się do Marszałka.

— Panie Marszałku, pozwalamy sobie prosić o kilka słów dla polskiej prasy...

Marszałek był już w palcie, ciemnoszary miękki kapelusz trzymał w ręce. Spojrzał na Chrzanowskiego i śmiejąc się rzekł:

— Dla polskiej prasy to [illegible] parę słów, [illegible] nie wydrukował [illegible] panowie chcą usłyszeć?

— Czy Pan Marszałek zadowolony ze swej podróży do Genewy?

— Oczywiście, załatwiono sprawę wielkiej wagi. Przynagłałem Radę, aby skończyć spór, powziąć decyzję, zaprowadzić spokój...

Otworzyły się drzwi pokoiku, i ukazała się w nich nad białym krawatem czarna śpiczasta bródka, potem ręka trzymająca kartkę papieru. W ukłonach wszedł Amé-Leroy, nieodstępny towarzysz Brianda. Trzymał odbitkę rezolucji, uchwalonej przez Radę, i prosił o autograf Piłsudskiego, koniecznie właśnie na tej odbitce, na pamiątkę.

Marszałek podpisał się szybko, Amé-Leroy zatrzasnął drzwi za sobą. Wskazując głową na znikającego, Marszałek kończył wywiad:

— Ci panowie wykazali wiele dobrej woli — i do nas — dowidzenia panom, teraz wyjeżdżam...

Szybkim krokiem przeszedł do schodów tak szybko, że nikt nie zdecydował się doń podejść, tłum się rozstąpił. Lampy przed drzwiami oświetliły dwie sylwetki, znikające w drzwiach samochodu.

Wiedzieliśmy że pojechał wprost na dworzec. Wyjazd miał nastąpić o godz. 1 po północy. Była blisko dwunasta, bodaj kilka chwil czasu na napisanie depesz do Warszawy. Przez kalkę, w obłędnym pośpiechu, pisałem do „Głosu Prawdy" i „Polski Zbrojnej" olbrzymią depeszę, zakończoną perełką, temi kilkoma słowami wywiadu, bez słów wstępnych. Ppłk. Beck w przejściu zdążył nam powiedzieć, że można żart Marszałka opuścić. Dopiero teraz ukazuje się w druku.

W wieczór „eskalady" sprzedają w Genewie czerwone róże. Jadąc na dworzec we dwójkę z Wrzosem, kupiliśmy ich trzynaście. Polska salonka stała daleko za dworcem. Brnęliśmy w świetle lamp sygnałowych po ciemnych torach. Dogonili nas Oryng z Sauerweinem. Stary as dziennikarski miał obiecany wywiad dla „Matina". Zadyszany, skakał po podkładach i radził palić papierosy, żeby nas dostrzegli maszyniści przejeżdżających pociągów.

U schodków salonki zgromadziła się cała delegacja polska. Marszałek siedział w wagonie z ministrem Zaleskim i ppłk. Beckiem, przyjmując kolejno członków delegacji. Żegnał się z każdym. Weszliśmy i my, podając wiązankę — „Dziękuję wam za moją trzynastkę", słowom towarzyszył uścisk dłoni.

Ostatni wszedł Sauerwein. Siedział przeszło kwadrans. Do salonki doczepiono już lokomotywę, która miała ją włączyć do nocnego pociągu wiedeńskiego. Kiedy wagon ruszył powoli, Marszałek stanął u okna. Nie wiem, czy dostrzegł w ciemnościach nasze rozjarzone szczęściem przeżytych chwil oczy.

Władysław Besterman.

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

W SIECI*)

PARYŻ 1900 — 1903

Nagły i zupełnie nieuzasadniony wyjazd J. A. Kisielewskiego w jesieni 1899 r. z Cziatury do Paryża ani jemu samemu, ani nikomu z otoczenia nie uświadomił początków choroby, która zaczęła swoje niszczące dzieło. Wszystko zdawało się na najlepszej drodze. Znajomość z p. Marją Loevy-Szeligą i jej entuzjastyczny artykuł w „Revue Internationale" w czerwcu 1901 r. mogły mu przez pewien czas dawać złudzenie, że wejdzie na sceny paryskie. Było to dla niego tem prawdopodobniejsze, że zawarł osobistą znajomość również z dyr. Antoinem i miał poparcie redakcji „Mercure de France" oraz blisko niej stojącej pani Rachilde. Zdaje się, że jedną z większych przeszkód w wejściu na scenę paryską okazał się słaby przekład „Karykatur" zrobiony przez Marję Szeligę. Kisielewski był tak mocno zainteresowany wszystkiemi objawami życia teatralnego w Paryżu, że zajął się szerzej również występami teatru japońskiego, przybyłego do Paryża z okazji światowej wystawy w r. 1900, ze słynną aktorką Sadą Yacco.

Bardzo muzykalny, bywał na wszystkich prawie porankach symfonicznych. dużo przesiadywał w Bibljotece Narodowej i św. Genowefy, gorąco interesował się nowem malarstwem francuskiem, które już wtedy wkroczyło zwycięsko do Muzeum Luxemburskiego. Przyjaźnił się z Wincentym Brzozowskim, z Felicją Nossigową, z Marją Szeligą i Edwardem Loevym, który piękny portret młodego autora wystawił z dużym sukcesem na Champs de Mars, z Henrykiem Opieńskim, wówczas skrzypkiem w orkiestrze Lamoureux, i jego żoną Anną, której matka, Marja z Orzechowskich Krzymuska, była autorką doskonałych artykułów o Przybyszewskim, Wyspiańskim, Reymoncie i Hauptmannie w „Ateneum" i „Bibljotece Warszawskiej". Gdy około Bożego Narodzenia 1900 r. Kisielewski przybył w sprawie wystawienia „W sieci" do Warszawy, poznał jej córkę, Julję Krzymuską, osobę nieprzeciętnej kultury umysłowej i artystycznej; w rok później poślubił ją w Paryżu, zachowując to w tajemnicy aż do powrotu z żoną do Warszawy w lecie 1903 r.

pobyt w Paryżu zakłócały częste stany depresji i melancholji, które w związku z niedawnemi przeżyciami tkwiły dziwnie głęboko w zranionej świadomości poety. Tak kiedy w czerwcu 1901 r. dowiedział się o tragedji tyfliskiej Władysława Emeryka i Dagny Przybyszewskiej, wpadł w nastrój zupełnego [illegible] i powiązawszy wypadek ten [illegible] samobójstwo Stanisława Ko[illegible] się zupełnie [illegible] z żalami jednym tchem swoje chorobliwe insynuacje pod adresem nieszczęsnego Emeryka. Duch niezdrowej epoki i nadwątlonego poczucia własnej osobowości mieści się w tych lamentacjach Kisielewskiego: „Ci ludzie co mi byli rodziną, umierają, umierają, nawet nie wiedząc o tem, co ja miałem dla nich za serce, i może nie umarliby, gdyby umieli byli ze mną żyć, jak z bratem albo z siostrą, a tak — to tyle mam z nich, że chodzę w żałobie po nich, w takiej strasznej żałobie jak może nie chodzą ci co zostali. A oni, półmartwi, ci dwaj (Przybyszewski i brat Brzozowskiego, Wincenty) zginą wnet i już nie będę miał nikogo z tych, co ich nie miałem gdy żyli. Ale było mi z tem choć trochę nie tak bardzo samotno z myślą, że są tacy ludzie, choć nie wiedząc, że jestem ich i dla nich. Bo oni byli inni jak ja, ale inni, jak dwaj bracia z tej samej matki, którą obaj kochają. A to jest dziwne: ten biedny Władek, gdy byłem u niego, zamiast mnie pokochać jak tego chciałem, bo czułem w nim coś pięknego i silnego, to on mnie chciał zastrzelić. Czy ja ci to już opowiadałem?... To cudowny chłopak, tak, jak się objawił tem zniszczeniem, tak mógł się objawić — tworzeniem, gdyby mógł kochać. Ale może on tego już całkiem nie mógł? Są rzeczy, które nie mogą inaczej być. Stach zmarnował Dagny — to prawda, prawda! Ale — nie mogło inaczej być, on tak samo strawił (choć nie zmarnował) siebie. Dlaczego ona nie mogła go kochać? A nie mogła, i ja to rozumiem. Nieszczęście — nawet nie to — śmierć. Śmierć szła przez nich i powiedziała: dość! Jakże głęboko wzruszająca jest ta prostota słów Emeryka, które zostawił: „Przyczyn nie trzeba dotykać, bo je trudno wiedzieć". Czy ty rozumiesz całość, wielkość i poezję i grozę takiej tajemnicy? „Bo trudno jest wiedzieć". Ach, gdyby oni wiedzieli, że ja to ich „trudno wiedzieć" w nich i w sobie — wiem, może przecież by żyli, możebym ich wziął ze sobą do mojego białego Boga i do mojej Miłości!"...

Biadał Jan August nad Emerykiem, że mógł się objawić jedynie zniszczeniem, a nie tworzeniem. Sam znajdował się w podobnej sytuacji duchowej. Dwa lata minęły od czasu jego wielkich wypowiedzi artystycznych, i oto on — który w półtora roku wyrzucił w gorączkowym tempie cztery dramaty — obecnie, jak z przerażeniem spostrzegał, nie mógł nic z siebie wydobyć. Gnany niepokojem, zaczął zmieniać miejsce pobytu, jeździł z Paryża do Warszawy, z Warszawy napowrót do Paryża, na jakiś czas przeniósł się z żoną i córką nad morze: bezskutecznie. Nękany depresją psychiczną, sięgnął po temat wiejski i zaczął pisać dramat chłopski. Miał w pamięci okolice Tarnowa, gdzie ojciec posiadał swego czasu kawał ziemi i gdzie syn na folwarku nieraz spędzał wakacje. Akcja rozpoczyna się dnia żniwnego o świcie, wyrobnicy zbierają się do żęcia zboża. Z pogwarków gromady dowiadujemy się o perypetjach sercowych jednego z kosiarzy. Napisane zostały tylko dwie sceny. Język w nich ludowy, bardzo barwny i świeży, wstęp ładny i mocny. Niestety, paraliżujący wszystko bezwład twórczy uniemożliwiał kontynuację rozpoczętej pracy. Wyjazd nad morze w r. 1902 nic tu nie zmienił.

Obrano małą wioskę bretońską, St. Lunaire, między St. Malo i Dinard. Trzy miesiące upłynęły na korekcie dramatów krakowskich, które właśnie wtedy ukazały się w pięknem wydaniu lwowskiem. Nad morzem, które uciszyć miało jego nerwy i usposobić do wydatniejszej twórczości, napisał jedynie małą nowelę „Ivonne", w której opowiadał dzieje nadbrzeżnego potworka. Niedorozwinięty niemowa, głuptas, prześladuje swą miłością ładną córkę rybaka. Po ślubie z synem sąsiada wydaje ona na świat stwór, podobny do niesamowitego kaleki, z jego dziwnemi oczami, koloru wody morskiej, palcami zrośniętemi u rąk i znamionami degeneracji. Ten drobiazg literacki, napisany z maupassantowską finezją, zaginął Kisielewskiemu w redakcji jednego z polskich pism, tak że z pobytu w Bretanji nie pozostało w literaturze ani śladu. Równie bezpłodne okazały się wcześniejsze i późniejsze wyjazdy nad morze, jak np. z roku poprzedniego, z którego mamy charakterystyczną wzmiankę w liście do Jana Lorentowicza: „Osiadłem pod Audierne, na zachodnim krańcu Europy. Mimo deszczu, zadowolony bardzo jestem z tego początku: okno z widokiem na Atlantyk, plaża o dwie minuty, w perspektywie wycieczki łodzią z rybakami. Na gębach bretońskich ogromna serdeczność i łagodność: kobiety w stroikach głów mają coś średniowiecznego. Vergodec en Audierne. Finisterre".

TRUPA JAPOŃSKA SADY YACCO

Ponieważ trupa japońska Kawakamiego i jego żony Yacco udała się w tournée artystyczne po Europie i z Austrji wybrała się do Polski szlakiem Krakowa, Łodzi i Warszawy, Kisielewski postanowił odegrać rolę prekursora uwielbianych artystów. Miał odczyty w szeregu miast, pisał pochwalne recenzje i należał do najgorętszych chwalców japońskiej pary, która niespodzianie natrafiła w Warszawie na zdecydowanie ujemną krytykę pióra Władysława Rabskiego, potentata z „Kurjera Warszawskiego". „Mała, chuda kobieta, uszminkowana niefortunnie, z małemi oczkami, z dużemi zębami i głosem ptasim, piszczącym jak małe kurczęta, oto jest Sada Yacco, którą pewni krytycy — czytaj również: Kisielewski — stawiają obok Sary Bernhardt, Réjane i Duse jako równą z równymi... Uwielbiana w Paryżu, podziwiana w Berlinie, przechwalana w Krakowie i oklaskiwana w Łodzi, gdyby mogła przeczytać recenzje warszawskie, zaczęłaby się z pewnością wachlować, pomimo zimna zrobiłoby się jej gorąco"... Odmienne stanowisko zajął Przybyszewski, który z okazji jej występów w Teatrze Letnim skreślił parę uwag o jej sztuce. Pomieszał przytem fatalnie autentyczną sztukę japońską „Gejsza i samuraj" z angielską operetką „Gejsza". W sporze o Sadę Yacco Przybyszewski stanął po stronie wrogiej Rabskiemu: niecały rok temu atakował go Rabski bezlitośnie w związku z tragedją tyfliską. Jakkolwiekbądź, Jan August z okazji sporów o aktorkę japońską był przez pewien czas na ustach wielu.

TRAGICZNA „KOMEDJA MIŁOŚCI I CNOTY"

Nie ustawał też w staraniach o dostanie się na scenę berlińską. Miał tego dokonać przy pomocy Rickelta, dyrektora jednego z teatrów. Przekład „W sieci" pióra żony dyr. Rickelta był gotowy, i na jesieni 1907 r. zużyto go do przedstawienia na jednej ze scen monachijskich. Próby napisania sztuk o pani Walewskiej i Beniowskim zawiodły. Wreszcie w lecie 1904 r. po powrocie do Warszawy z Berlina ruszyła z miejsca sprawa pisania nowej sztuki: w przeciągu dziesięciu dni rzucił uszczęśliwiony poeta na papier pierwszy akt „Komedji miłości i cnoty". Rzecz zapowiadała się świetnie. Zdawało się, że całe doświadczenie płynące z zetknięcia się ze scenami i kulturą Francji, przemówi teraz arcydziełem i że z rodziny Rożańskich, ze znakomicie nakreślonych postaci matki, lwicy salonowej, syna, pałającego do niej perwersyjną miłością, córki nie uznającej żadnych hamulców, gdy szło o miłość i użycie, ojca mającego przeszłość zbrukaną brzydkim procesem sądowym — stworzy Kisielewski galerję postaci godnych jego pióra. Sytuacja końcowa aktu pierwszego była pyszna: młody malarz, zakochany w Rożańskiej, w przededniu spotkania z nią samnasam, słyszy wyznanie miłości z ust jej córki. Ekspozycja dramatu wyśmienita. Czuł to chyba sam autor, a jednak nie śpieszył się z dokończeniem dzieła, przeciwnie, imał się różnych prac, przypadkowych, dorywczych, przeważnie natury dziennikarskiej, na gruncie warszawskim, gdzie do redakcji różnych pism wprowadził go Stanisław Czepiel-Brzozowski. Widocznie jednak zniecierpliwiło w końcu to dojutrkowanie samego dramatopisarza, bo nie czekając na przypływ dalszej energji twórczej, pewny że istotnie nadpłynie, wiezie początek dramatu w lecie 1905 r. do Tadeusza Pawlikowskiego.

Oczywiście, Pawlikowski, który pierwszy się poznał na talencie Kisielewskiego, przyjął wracającego z otwartemi rękami, dał mu najlepsze warunki i snuł marzenia o rozgłosie, którym rozbrzmiewać będzie tym razem nie Kraków, lecz Lwów. Ale daremne były jego nadzieje. Minęło prawie pół roku, a dalsze akty dramatu nie nadchodziły. Wtedy nieskory do pisania i próśb arystokrata-dyrektor zdecydował się na list do Jana Augusta. Brzmiał on jak następuje: „O ile wnosiłem z oświadczenia złożonego mi podczas lata przez Szanownego Pana — życzył Pan sobie, aby nowa Jego „Komedja miłości i cnoty", której rękopis pierwszego października b. r. miałem otrzymać, wprowadzoną była przeze mnie na scenę w czasie dla premjer najpomyślniejszym, a zatem w okresie zjazdu sejmowego. Gdy sejm od tygodnia już rozpoczęty, muszę się przypomnieć życzliwej pamięci Pana. Nie chcąc zaś utrudzać Pana wysyłką rękopisu proszę o wręczenie go oddawcy tego listu, artyście teatru lwowskiego, Nowackiemu. Daruje Szanowny Pan, że złożony jakąś uporną niemocą osobiście nie zgłaszam się. Zanim jednak ułatwimy się z kopjaturą ról i formalnościami cenzury — wydobrzeję o tyle, aby módz korzystać z przyrzeczonej mi łaskawie lektury dzieła w pojęciu i oświeceniu samego twórcy. Proszę zatem tę połowę, którą stanowi rękopis, powierzyć mi niezwłocznie. Inne życzenia Pańskie mam w pamięci. Tymczasem, przełażąc na szczudłach zdrowego humoru w sferę balonicznosci zielonej, uderzam w kamerton nastrojony na Ha! trzy razy i spadając o pół tonu (jako dyrektor opery muszę być muzykalny), witam radosnym Be! Be! Be! narodziny waszego zakładu balonologicznego, towarzysze sprośnej zieleni!. Oby Wam ziemia była lekką! Z czołobitnością oddany Panu T. Pawlikowski. Lwów — ul. Kościuszki 1.10.11 w dniu 17.X.905 r.".

„ZIELONY BALONIK" W KRAKOWIE

Otośmy i u źródeł pierwszego polskiego kabaretu nowoczesnego, w którym Kisielewski „magna pars fuit". Udział jego w tej imprezie nie zawsze bywa dość wyraźnie podkreślany. Myśl stworzenia kabaretu wypłynęła od niego, bywalca tego rodzaju lokali w Paryżu. Był conférencierem dwóch pierwszych wieczorów, gdzie grzmiał inwektywami ironicznemi na zgromadzonych kolegów i artystów. Wkrótce jednak wycofał się zupełnie z Jamy Michalikowej. Zrobił to tem skwapliwiej że „Komedja miłości i cnoty" leżała niegotowa w tece, że pamięć o żonie i córeczce przebywających w Warszawie mąciła mu radość z pobytu w Krakowie. Co zaś najważniejsze, pisarzowi, który dziesięć lat temu, w r. 1894, występował płomiennie jeszcze na ławie dząc po wiadomościach z Krakowa, że zaświtają dla nich lepsze dni. Oto co czytała w liście z dn. 11 października: „Czuję jak Wam tam trudno jest w tej Warszawie zakazanej. Mnie też smutno, chwilami śmiertelnie smutno; padam i — zrywam się znowu. Nie tracę nadziei, że to ostatnie próby, po których wyjedziemy na szosę. Trzymaj się mocno, jeszcze może tylko kilka miesięcy, potem już chyba będę mógł zająć się Wami, jak oddawna winienem. W Krakowie zatrzymałem się, bo dalej nie miałem o czem jechać: dopóki nie skończę pracy, — a pióro zbrzydło mi!! — nie ruszę się już stąd. Wszystko jedno, gdzie się mieszka, gdy się żyje tak jak my... Otwarcie kabaretu, na którym „elicie" snobistycznej powiedziałem „pater noster", za które byliby mnie rozznieśli, gdyby nie nastrój orgji, który zapanował od chwili otwarcia, aż do 6-ej rano, — obrazek straceńców skazanych na obcowanie z własną autozłośliwością i nieznośnością, którzy chcieliby wyjść „poza siebie". Coś smutnie komicznego"...

J. A. KISIELEWSKI
(1903)

J. A. KISIELEWSKI
portret Ignacego Protaszewicza (1903)

J. A. KISIELEWSKI
portret Edwarda Loevy (1901)

Dla organizacji tak poważnie zagrożonej rozstrojem psychicznym, atmosfera Jamy była mocno szkodliwa. Zrozumiał to sam po drugim wieczorze w dn. 14 października. Skarżył się też do żony następnego dnia, w niedzielę: „Prowadzę się tutaj wcale niedobrze i gdy to potrwa, będzie źle. Nie piszę i żyję z cyganerją. Muszę oddać się pod Twoją kuratelę absolutną, zamknąć na wsi na rok i wypisać się — wszystkie inne plany są sentymentalizmem. A więc, gdy tylko wyrwę trochę grosza, przyjadę do Ciebie, o ile zamieszkasz na wsi. Gdyby udało mi się zrobić tranzakcję z Towarzystwem Wydawniczem, zabrałbym Was do Włoch, lecz w tej chwili tracę ostatnie nadzieje. Sądzę, iż Pawlikowski przyśle mi 500 koron i wtedy zaraz przyjechałbym do Was. W razie przeciwnym nie pozostaje mi nic innego jak powrót do Warszawy i dziennikarstwo. W takim razie i Ty musiałabyś ze mną zostać w Warszawie, jeżeli nie mam pójść na dno... kawiarni. Zdołałem urządzić tu dwa pijaństwa, à la to mimiczne w Tow. Art. Kraków „chodzi" od plotek. Pobiłem ludzi zamiast szyb, kopnąłem jedną aktorkę, drugiej powiedziałem, co o niej myślę, jednem słowem „zabawiłem się". Tylko że w Warszawie to było z fantazji, a tu z melancholji i mizantropji"...

REWOLUCJA W WARSZAWIE

W miesiąc później, w pamiętnym listopadzie 1905 r. jest Kisielewski już duchem zupełnie w Warszawie i po stronie tych, którzy manifestują przeciw Moskalom: czeka na hasło, na barykady, pójdzie do powstania. Jak dobrze rozumiemy w tem świetle przekreślenie i odżegnywanie się od „Balonika": „Twoja depesza rezurekcyjna wzruszyła mnie... Mój Boże po raz drugi bierze ta biedna Warszawa taki policzek; w lutym obietnica konstytucji dla cesarstwa, a stan oblężenia dla Warszawy; teraz znowu konstytucja i autonomja ze sejmem, a dzień później stan wojenny dla Królestwa!!...

„Co do nas dwojga — najbliżsi są nam obecnie narodowi demokraci z Sienkiewiczem i Zamojskim na czele. Piszesz, że należy abym przyjechał bezwzględnie... Jedyną, niewątpliwą dla mnie drogą dla Polski i społeczeństwa całego, we wszystkich stanach i klasach jak było tak i jest w tej chwili: powstanie. To jak zawsze tak dziś może mieć swoich biernych i czynnych powstańców, swoich białych i czerwonych — lecz przedewszystkiem istotnie i formalnie musi stać się „wojną narodu o niepodległość". Wszystko inne nie jest z rzeczy moich. Zanadto jestem poetą, aby wstrzymywać wybuch, zamało rozsądnym, aby objąć sytuację i umieć powiedzieć sobie: teraz można powstać.

„Faktem niezaprzeczonym zdaje się być, iż w chwili wybuchu powstania Prusacy wkroczą do Warszawy i to wkroczenie stanowi dla nas nad wyraz groźną komplikację. Faktem jest, że o ile oni nie wkroczyliby, Rosja sama z powstaniem naszym w tej chwili krwawego swojego wewnętrznego przeobrażenia, z równoczesnym powstaniem Kaukazu i Finlandji, przy niemożności mieszania się Austrji, która już jest impotentna, — sama nie dałaby nam rady.

„Tak więc powstanie, jak było i będzie, jest ryzykiem wielkim, może się powieść, może — zawieść w przepaść. Może ten stan rzeczy obecny, to uczenie się rewolucji, gdy będzie trwało jeszcze rok, wzmoże w tym kierunku świadomość narodową i jej siły do tego stopnia, iż doprowadzi do świadomego i równocześnie żywiołowego wybuchu. Wtedy znajdziecie mnie w szeregach".

Przybywszy do Warszawy rzucił się Kisielewski w wir działalności politycznej, w związku z wyborami do Dumy. Dn. 25 kwietnia 1906 r. ogłosił dość fantastyczny „List serdeczny i tani do warszawskich alfabetów", występując wyraźnie po stronie Narodowej Demokracji. Odezwa przedstawiała się tak dziwacznie, że łatwo było Adolfowi Nowaczyńskiemu sparodjować ją i wyśmiać, w następstwie czego zanosiło się przez parę dni na bójkę w kuluarach teatru, a skończyło się na mało sympatycznej polemice w prasie. Na szczęście nawinął się poecie wkrótce inny temat, studjum o „Horsztyńskim" Słowackiego, z czem wybrał się do Lwowa, gdzie oceniono, nawet nadmiernie, wszechpolskie nastawienie autora i dano mu dział recenzyj w „Słowie Polskiem". Lwów z Zygmuntem Wasilewskim i grupą ludzi pokrewnego obozu lansował usilnie Kisielewskiego, nagradzał dobrze jego dziennikarską pracę, postarał się o wydrukowanie dwóch jego książek: „Panmusaion" (1906) i „Życie dramatu" (1907). Za „Życie dramatu" zapłacono mu 1 200 koron: marzenie, o którem mówił w liście, spełniło się, prawie w zupełności. Niedługo jednak trwał ten dobry stosunek między „Słowem Polskiem" a pisarzem. Już w listopadzie rozstają się obie strony dzięki nadmiernej, wyraźnie psychopatycznej drażliwości Kisielewskiego na punkcie fałszywego honoru i rzekomej obrazy. Zbyt dobrym Wasilewski był psychologiem, żeby mieć żal do nieszczęśliwego pisarza, ale nie mógł współpracować z człowiekiem, który przysyłał mu wyniosłe, niczem nieusprawiedliwione ultimatum. Powrót do Warszawy i praca w „Gońcu" nie wróżyły nic dobrego: w styczniu 1910 r. objawy paranoi wystąpiły w zdecydowany sposób, zmuszając otoczenie do szukania środków zaradczych u lekarzy i w klinikach.

W SIECI

Z dwóch elementów psychozy, której podległ poeta, mianowicie nadmiernie wybujałego cenienia swej jaźni i manji prześladowczej, zaznaczył się przedewszystkiem pierwiastek pierwszy. Podczas podróży na Kaukaz, gdy zabrakło pieniędzy na kontynuowanie podróży, uważał, że środki znaleźć się muszą, gdyż przecie tu idzie o niego, twórcę wielkiej miary. W Paryżu, w pierwszych miesiącach po przyjeździe nie wątpił, że najlepsze teatry zagrają jego krakowskie arcydzieła i będą je dawały przez cały sezon. Teraz przygodnych towarzyszy w kawiarni wtajemniczał w swoje dawne tryumfy, albo wynajęwszy dorożkę kazał obwozić się do upadłego po ulicach Warszawy z nonszalanckim gestem tryumfatora. Ten świetny umysł, który był chlubą polskiej literatury, podległ strasznemu schorzeniu, rozbiciu, niemocy i wypaczeniu. Wywyższanie siebie, to tylko reakcja psychiczna, chęć rekompensaty za głęboki uraz niemocy artystycznej, której poeta doznał po r. 1899.

I teraz jeszcze po zadeklarowaniu się katastrofy zrywał się poeta do twórczości. Próbował nowel, niektóre drukował nawet, parę drobiazgów zostawił w tece. Każdy z tych utworów nosi na sobie ślady śmiertelnego wysiłku, ostrożnego stawiania kroków poomacku. W składni, w nawale słów pokrywających brak logicznych wiązań, odczuwa się umysł spętany paraliżem twórczym. Niegdyś w Krakowie, w epoce tryumfów, podpatrzył Kisielewski świetnie szereg typów ludzkich, które ginęły z braku możności wyrwania się rzeczywistości oplatającej ich niby siecią, zrozumiał i opisał tragedję szalonej Julki i Jura, dając jej symboliczny tytuł „W sieci". Teraz dotknięty chorobą, zrywał się napróżno do tworzenia i normalnego pisarskiego wypowiadania się w sztuce, tkwił uwięziony na zawsze w sieci, w sieci obłędu i niemocy. Trudno wyobrazić sobie smutniejsze unicestwienie ludzkiej jaźni. Przyczyny otoczone są niewyjaśnioną tajemnicą: wielokrotne próby krwi wykazały brak podstaw do twierdzenia o następstwach choroby nabytej. Prawdopodobnie w grę wchodzi biologiczne obciążenie dziedziczne, lub też przepracowanie w okresie krakowskim: w dodatku na czas gorączkowego tworzenia wielkich dramatów przypada tragiczna miłość autora do osoby starszej, zamężnej, odrzucającej płomienne wezwania młodego zapaleńca. Lenauowskie zwichnięcie równowagi psychicznej mogło być skutkiem tego wytężenia umysłu i serca: wzlot twórczości był równocześnie jej kresem.

Sytuację pogarszał fakt wojny. Środki finansowe były na wyczerpaniu, poeta przebywał stale w sanatorjum w Drewnicy ale okresami w mieście, w hotelu, przesiadywał w kawiarniach, spędzając czas na pisaniu beznadziejnie smutnych protokółów policyjnych, w których z dawnego mistrzostwa dialogu pozostała jedynie forma beztreściwych pytań i odpowiedzi. Wkroczenie Niemców w r. 1915 do Warszawy wstrząsnęło chorą wyobraźnią. Kisielewski napisał większą całość, która powiązana jest jaką taką logiką, ukazując nam jego własną sylwetkę na tle zajętego miasta. Jest to „Noc oblężenia":

„Wysadzony na ulicę wybuchem zwałów wojennych, uczuł się człowiekiem samotnym wśród nocnej bitwy w stolicy. Syk spadających kul. — Iść tędy! Tamtędy! Blisko muru! — Gdzie Pan idzie? dokąd Pan idzie? Kto Pan? —

Wyjaśnił szybko i z zakłopotaniem. Poparł biletem wizytowym, dobytym z portfelu. (Bilet przyrodniego szwagra). Syk spadającej kuli karabinowej.

— Chodzić wzbroniono! Poco Pan włóczy się? Tam zgarnie Pana pierwszy lepszy posterunkowy! — rzekł grubszym głosem kontrolny porucznik policyjny i szedł dalej mało zadowolony z laseczką do konia w ręce. Tam bitwa, a tu kule środkiem ulicy lecą jak szerszenie. Tylko że ciemne. O, zdaje się i tam bitwa! O, a tu kula! Poleciała! Milicjanci narażają się! Trzech bardzo młodych stoi blisko muru. Rozmawiając. Pac! Ta spadła na asfalt, albo uderzyła w ścianę z muru. No więc dlatego. Nikt przecież nie mierzy do ścian kamienic, ale strzela w środek ulicy. Młody milicjant stoi w środku ulicy pustej lub idzie kilka kroków tam i sam.

Jedne na wysokości pierwszego piętra, drugie mogłyby trafić w plecy, trzecie z przeciwnej strony w piersi, inne nad głową albo obok ramienia, jeżeli ze znacznej odległości. Tam bitwa. O! Teraz blisko kostki! Kula z karabinu!

— Odprowadzić pana do biura okręgowego!"...

Stanisław Helsztyński.

*) por. „Portret Jana Augusta po latach czterdziestu" w nr. 744 „Wiadomości Literackich".

KRONIKA TYGODNIOWA

Naród woła o kolonje dla Polski. Ulice pełne są napisów propagandowych, i obywatel warszawski patrząc na mapę świata, waha się którąby tu Ugandę czy inną Liberję zanschlussować na począ-

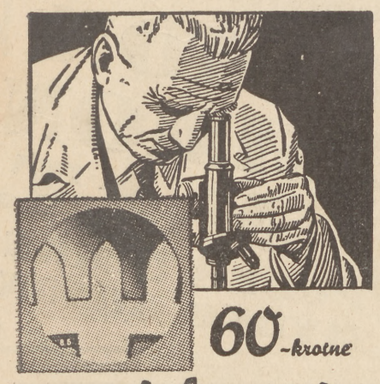

60-krotne powiększenie

wykazuje wysoką jakość materiałów i precyzję wszystkich części używanych przy fabrykacji zegarków OMEGA. Szlachetna stal „Diamenta" stosowana w zegarkach OMEGA gwarantuje ich zawsze nowy wygląd, zabezpieczając równocześnie mechanizm przed wszelkimi szkodliwymi wpływami.

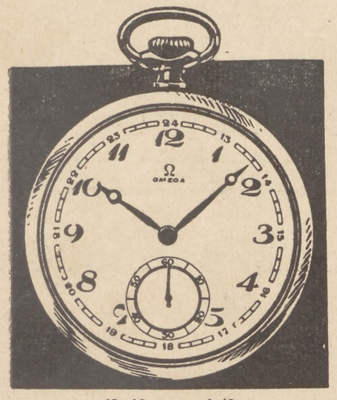

Nr 10 cena zł 43.-

Jedynie zegarki OMEGA

POSIADAJĄ ŚWIATOWY REKORD PRECYZJI

tek. Kolonje zamorskie potrzebne są nam choćby ze względu na autorów dramatycznych. Cóż to za ułatwienie dla komedjopisarza! Każdy oczywiście myśli przedewszystkiem o swoim fachu, i nic to dziwnego, że my literaci patrzymy na sprawę kolonij od strony zawodowej. Jeśli chodzi o fabułę teatralną, to możliwość wysłania kogoś do kolonij, albo nagły powrót starego generała, który nie zna osobiście własnej siostrzenicy, i temu podobne zwykłe zdarzenia komedji zagranicznych bardzoby się nam przydały. Złośliwi twierdzą, że nasze tereny kolonizacyjne zaczynają się za stacją Małkinia. Może to i prawda, ale jest to prawda mało egzotyczna i literacko niedość malownicza. Posiadanie prawdziwych kolonij z Murzynami i dżunglą bardzoby ożywiło literaturę. Mielibyśmy nowe mniejszości narodowe i publicyści takżeby parę groszy mogli zarobić na walce z frontem żydo-murzyńskim. Wielu wojewodów i dygnitarzy paradowałoby w kaskach tropikalnych po Afryce. Widzę już Józewskiego w stroju kacyka, widzę wielkie totemy postawione na cześć Grażyńskiego. Dziennik filmowy P. A. T.-a pokazywałby nam śliczne zdjęcia z uroczystości otwarcia nowego mostu drewnianego na rzece Kongo i poświęcenie pierwszej kolejki linowej na Kilimandżaro.

Kolonje są zawsze wygodne jeśli chodzi o skanalizowanie nadmiaru temperamentu i młodzież miałaby ujście dla swej dynamiki. W razie buntu jakichś plemion czy zatargów kolonjalnych endecy mieliby okazję do zmobilizowania paruset drabów i wysłania ich z drągami i kastetami do Warszawy. Polska Akademja Literatury miałaby nową okazję do rozsyłania palm i kaktusów akademickich, a Karol Irzykowski wędrowałby od wioski do wioski murzyńskiej z odczytami przeciw talentyzmowi, życiu ułatwionemu i perfidji skamandrytów. Powstałby wielki koncern filmowy Ferdynanda Goetla pod nazwą Pol-dżungla Company. Widzę już numer murzyński „Wiadomości Literackich" i nowy konkurs: „Pan Gryps zwarjował w Afryce i pokazuje na migi Murzynom jakie powojenne powieści polskie nienagrodzone przez redakcję należy czytać". Czytelnicy musieliby po gestach pana Grypsa odgadnąć o jakie powieści chodzi, biorąc oczywiście pod uwagę, że pan Gryps zwarjował. Wszystkie pisma zapełnione byłyby reportażami Wańkowicza, jego podróżami z Tirliporkiem i wywiadami pod tytułem: „Szczenięce lata na drzewie czyli polski Tarzan". Po murzyńskim numerze „Wiadomości Literackich" wyszedłby anty-murzyński numer „Prosto z Mostu". Pismo to bowiem, jak wiadomo, odznacza się niezwykłą pomysłowością i oryginalnością. Jak dotąd nie posiada tylko jednej rubryki „Wiadomości Literackich", a mianowicie „Dziesięć lat temu", ale podobno w najbliższym numerze już ma być rubryczka „Trzy lata temu".

Takie kolonje wniosłyby wiele ożywienia we wszystkie dziedziny życia. Polskie radjo nadawałoby szum liści palmowych i ryk dzikich bestyj. Słyszę już tę uroczą audycję. „Właśnie, proszę państwa, znajdujemy się, proszę państwa, w tym, jak się nazywa, no w lesie afrykańskim. Właśnie, proszę państwa, właśnie coś się zbliża. Pewnie, proszę państwa, jakieś dzikie zwierzę. Zwierzę zbliża się, proszę państwa, do mikrofonu. Wobec tego, proszę państwa, przerywamy na chwilę aby nadać codzienną pogadankę sportową". Posiadając rozległe tereny egzotyczne moglibyśmy zamiast do Białowieży zapraszać gości zagranicznych na polowanie do Afryki. Pisma ilustrowane dawałyby co tydzień fotografje ministra Goeringa z upolowanym hipopotamem. Takby wyglądało życie towarzyskie i artystyczne, a cóż dopiero mówić o sprawach ekonomicznych.

Jeśli chodzi o handel zamorski to coprawda i bez kolonij doskonale dajemy sobie radę. Czytałem niedawno o pewnej aferze, której piekielna zawiłość przejęła mnie dreszczem podziwu. Pewien eksporter wysyłał na Jawę czy na Borneo wielkie transporty cukierków. Przy wyładowywaniu skrzyń w porcie rozleciała się jakaś skrzynia i wysypał się piasek. Konsul honorowy który był przy tem obecny bardzo się przeraził. Ale firma która sprowadzała te dziwne cukierki z Polski nie zgłosiła żadnej pretensji. Cóżby to znaczyć mogło? Okazało się, że spryciarz wysyłający cukierki miał umowę z firmą na Jawie, że będzie jej darmo przysyłał żwir i piasek. Jako eksportujący wyroby cukiernicze miał demon handlowy prawo kupowania cukru po cenach eksportowych i cukier ten ze znacznym zyskiem sprzedawał na rynku wewnętrznym. Okazało się, że można zarabiać duże sumy na bezinteresownym wysyłaniu skrzyń z piaskiem. To się nazywa kręcić bicze z piasku. Tego rodzaju genjusze mieliby w kolonjach prawdziwe żerowisko. Mnie osobiście bardzoby smakowało życie kolonjalne, bo lubię podróże i tak naczytałem się książek dla młodzieży, że został mi na długo jeszcze głód egzotyki i przygody. Kto wie jednak czy potrzebni są nam nowi Abisyńczycy gdy tylu mamy w kraju starych Abisyńczyków. Kiedyś może przyjdzie kolej i na dominja. Narazie sporo mamy jeszcze do zrobienia u siebie w domu. Choćby ucywilizować trochę naszych ludożerców, ludowco-żerców, demokrato-żerców, endeko-żerców, socjało-żerców, żydo-żerców i wszystkich, którzy się żrą między sobą a nażreć się nie mogą i chodzą jak te Murzyny bez portek.

Antoni Słonimski.

„ASMODEUSZ"

Teatr Mały: „Asmodeusz". Sztuka w 5 obrazach **Franciszka Mauriaka,** przekład **Kazimierza Wierzyńskiego;** reżyserja **Marji Przybyłko-Potockiej;** dekoracje **Stanisława Śliwińskiego.**

Nie jestem pewien czy chodzi tu o Asmodeusza, okrutnego demona z legend Wschodu, czy raczej o poczciwego djabła Lesage'a. W każdym bądź razie jeśli wcieleniem Asmodeusza jest pan Błażej Couture, to djabła tego zabarwił Mauriac w sposób bardzo typowy dla swej katolickiej ponurości. Religijność Mauriaka jest posępna i sensacyjna. Ponurość ta w połączeniu z erotyzmem i szukaniem dobrej roli dla aktorki daje coś w rodzaju Bernsteina w sosie miłaszewskim. Dużo się mówi o ponurości Dostojewskiego, ale nie znam powieści tego pisarza, któraby tak pozbawiona była wszelkiej wiary w człowieka, któraby w tak bezlitosny sposób nieodwołalnie zamykała swych bohaterów w kręgu potępienia. Pierwsza sztuka Mauriaka nie zdaje się wróżyć sukcesów scenicznych pisarzowi, który przeniósł do teatru stare swoje środki i chwyty powieściopisarza. Postać intrygująca w powieści na scenie łatwo staje się zbyt prosta i właśnie los ten spotkał pana Couture.

Ten demoniczny intrygant, przeczerniony w sposób zdecydowanie przesadny, budzi wesołość publiczności. Skradanie się, podsłuchiwanie, podsuwanie trujących słówek, rzucanie okiem na ofiary swej podstępności, cała ta pajęczowatość bynajmniej nie budzi uczucia grozy. Film amerykański w sposób znacznie ekonomiczniejszy porozumiewa się z widzem. Czarny charakter ma poprostu baczki albo wąsiki. Mauriac aby przekonać nas o potworności pana Couture wyposaża go we wszystkie grzechy śmiertelne, nie omijając niestety najcięższego grzechu teatralnego, jakim jest nuda. Nie wątpimy ani chwili, że pan Couture popełniać będzie same rzeczy brzydkie. Jest to Świętoszek przez nikogo nie ukarany. Brakuje w „Asmodeuszu" kogoś, ktoby potrafił w zabawny sposób wyszydzić pana Couture. Jedyna to zresztą postać w sztuce Mauriaka różniąca się przynajmniej w założeniu od banalnych postaci teatralnych. Starszawą mamusię rywalizującą z córeczką o względy młodego chłopca znamy już oddawna. Uwiedziona nauczycielka, prostolinijny Anglik i poczciwy proboszcz nie potrafią nas nawet przelotnie zainteresować. Emanuela jest może najładniej narysowaną postacią. Autor osiągnął to prostotą środków. Nie chciał nam mówić zbyt wiele o tej młodej dziewczynie, ale sam bieg zdarzeń okazał ją nam żywą. Niewybaczalne z punktu widzenia rzemiosła scenicznego jest zgubienie w połowie sztuki konfliktu nauczycielki. Scena jest pod tym względem podobna do architektury. Fragmenty nie rozwiązane kompozycyjnie ciężą na całej budowie.

Wykonanie aktorskie „Asmodeusza" budzi poważne sprzeciwy. **Przybyłko-Potocka** jest znakomitą aktorką ale nie może grać Marceliny Barthas. Warunki nie pozwalają tej świetnej artystce rywalizować z młodą dziewczyną, a co gorsza, nie umiała Przybyłko dać postaci Marceliny ani odrobiny wdzięku. **Wilamowski** był dość sympatycznym ramolem niczem nie przypominającym młodego chłopca z wyjątkiem chyba skłonności do kobiet znacznie od siebie starszych. **Bonecki** zbyt pracowicie okazywał demoniczność pana Couture. Bardzo miłą, prostą i wzruszającą Emanuelą była **Kurylukówna,** a **Żabczyńska** z melancholijnym wdziękiem zagrała epizodyczną postać Mademoiselle.

Przekład **Wierzyńskiego** bardzo staranny.

as.

WYSTAWY

OPRACOWANIE PLASTYCZNE WYSTAWY „TWÓRCZOŚĆ LITERACKA ANDRZEJA STRUGA"

Uzupełniając recenzję z wystawy „Twórczość literacka Andrzeja Struga", skreśloną przez Stanisława Brucza w nr. 755 „Wiadomości Literackich", chciałbym podnieść, że wystawa ta jest również czemś nowem z punktu widzenia jej ujęcia plastycznego.

Przy pomocy pomysłowych montaży fotografij, dokumentów i druków, przy pomocy wykrojów, strzałek, rytmu linij prostych i skośnych, barwnych papierów i celofanów, czarnych guziczków i kolorowych pręcików, organizatorzy wystawy dyskretnie kierują i prowadzą tutaj widza, kanalizują jego uwagę w odpowiednim kierunku, nie ułatwiając mu przytem zadania bez reszty, pozostawiając jemu samemu rozpoznanie i odczytanie poszczególnych przedmiotów i tekstów. Bardzo zręcznie wyzyskano tu, m. in., nastrojowo-symboliczne wartości barw, umieszczając pamiątki z okresu rewolucji na czerwonem tle, fotografje z wakacyj w górach — na zielonem, fotografje i sprawozdania z pogrzebu — na czarnem. Jako akcentów dekoracyjnych użyto poza kwiatami i zielenią, szeregu portretów rzeźbiarskich, malarskich i fotograficznych Struga — popiersia z bronzu **Głowińskiego,** pasteli **Witkiewicza,** rysunku **Rembowskiego,** karykatury **Głowackiego** i paru powiększonych fotografij.

Ów pomysłowy i szczęśliwy układ plastyczny wystawy jest dziełem dwojga młodych artystów — **Centkiewiczówny** i **Michalskiego.**

Mieczysław Wallis.

Podróżuj „Lotem"

NOWE FILMY

PŁYNNE ZŁOTO (Imperial)

W połowie ubiegłego stulecia, w zachodniej Pensylwanji odkryto pierwsze złoża naftowe. Z ziemi tryska nagle złotodajna fontanna i opada na ludzi brunatnym tłustym deszczem. Grunta należą do drobnych farmerów, koleje którymi przewozi się ropę należą do wielkich kapitalistów. Kapitaliści podnoszą cenę za przewóz do niebywałych granic, pozbawiając drobnych posiadaczy wszelkich zysków. Rozpoczyna się walka przeciwko rekinom kapitalistycznym, czasy są bohaterskie i walka nieubłagana, kapitaliści są cyniczni i perfidni, podkupują, zabijają i niszczą; farmerzy walczą własnymi rękami, własną pracą i krwią i — zwyciężają. Wielki finał jednoczy wszystkich ludzi pracy, nawet przygodni cyrkowcy i słonie walczą przeciwko kapitałowi i donośnym rykiem głoszą prawo do życia i bogactwa drobnego człowieka.

Aż dziwo. Aż podejrzane. Z wielkokapitalistycznej wytwórni amerykańskiej wychodzi film, którego ideologiczne nastawienie polega na demaskowaniu niszczycielskiej i antyspołecznej roli wielkiego kapitału, — rzecz wprawdzie przesłonięta jest mgłą historji, ale dynamiczny ładunek filmu jest aktualny, szary widz kinowy z łatwością przeskoczy przestrzeń lat i oczyma które film napełnił nienawiścią spojrzy na dzisiejsze czasy. Dosadnie oczernione charaktery rekinów znajdzie i dzisiaj. Były już wprawdzie filmy malujące niedolę farmerów, ale po raz pierwszy dociera do nas film tak zdecydowanie antykapitalistyczny. Aż dziwo.

Przyczyny tego dziwu mogą być dwojakie. Albo jest to poprostu sterowanie z prądem, co wielkie wytwórnie robią chętnie i dobrze, nie troszcząc się o nastroje które wzniecają. Albo też wzniecanie tych nastrojów jest jednym z punktów „New Deal" — nowego wielkiego programu Roosevelta. Albo też jedno i drugie razem.

Film jest interesujący. Rozpięty jest coprawda na kanwie bardzo przeciętnej i bardzo amerykańskiej historyjki domowej, bardzo pobieżnie traktuje charaktery i konflikty prywatne, ale posiada momenty nowe i ciekawe. Jakby wyrosłe z nowego materjału, z tryskającej nafty, z rur któremi ma płynąć ropa, z szerokiego terenu, z rodzaju walki, która wypełnia obrazy. Sceny zbiorowe i rzeczowe potrafił reżyser **Mamulian** zrobić w sposób nie stereotypowy.

Ilekroć pojawia się na ekranie temat nafty, budzi się pełne żalu pytanie: a u nas? Dlaczego niema polskiego filmu o nafcie?

WRZOS (Capitol)

Oczywiście, najłatwiejszą rzeczą jest potraktować całą sprawę jako film kuchennych schodów. Można wtedy z należną wyższością spojrzeć na historję szlachetnej panienki ze dworu, która wprawdzie wychodzi zamąż za niekochanego i bogatego mężczyznę, ale dumnie odrzuca jego mężowskie zaloty, poświęca swe życie dobrym uczynkom, rozdziela jałmużnę, a potem umiera. Można z uśmiechem pogardy mówić o nieprawdopodobnie sztampowatych, papierowych typach, o nieprawdopodobnej szlacheckomieszczańskiej moralności, o łamańcach tego przedziwnego „idealizmu", o głupocie tego konfliktu i t. d., i t. d. Ta cała „zasadnicza" krytyka jest aż nadto łatwa i aż nadto powierzchowna.

Prawdą jest, że siedząca obok mnie paniusia płakała rzewnemi łzami w ciemności kina i że wiele takich łez wyleje publiczność dla której film jest przeznaczony. Nie należy zapominać, że brukowe romanse, sprzedawane po 10 gr za zeszyt ukazują się w nakładzie kilkuset tysięcy egzemplarzy i że film p. t. „Wrzos" obejrzy również wiele set tysięcy ludzi, którzy znajdą w nim wszystko, co potrzeba do podniesienia ducha, podtrzymania obowiązującej moralności, do rozgrzania serc i rozpłomienienia wyobraźni. Znajdą w nim ideał życia — z jedwabną kołdrą, tiulowemi firankami nad małżeńskiem łożem, z lokajami i futrzanym płaszczem, znajdą gest dumy i szlachetności, taki właśnie gest, który podtrzymuje wiarę w serce, w miłość, w niezłomność i t. d. i znajdą rozgrzeszenie próżniaczego bogactwa, bo któżby czynił dobrze, któżby chodził po mieszkaniach ubogich, któżby hojną ręką rozdzielał datki, gdyby nie było bogatych szlachetnych dam? Sztampowe typy? — ale któż z widzów dla których film jest zrobiony tęskni za innymi?

Film jest zatem doskonale przystosowany do środowiska, dla którego został stworzony. Gdyby był inny — musiałby spełniać jakąś pionierską wychowawczą robotę, na której nie zależy nikomu z możnych, a najmniej filmowcom. To tylko my — t. zw. idealiści — możemy się oburzać na głęboko demoralizujący i ogłupiający sens tego filmu. Pozatem wszystko jest w porządku.

W porządku jest gładki i płytki bieg akcji. W porządku jest taniość, salony i tańce. W porządku są łzy i tragedje. W porządku są także aktorzy. Cóż mogą robić innego, jak drobnymi gestami, uśmiechami uprawdopodobniać to co dla nas jest nieprawdopodobne? P. **Angel-Engelówna** jest taka jak być powinna, piękna, sztywna i mdła. P. **Hanna Brzezińska** zadebiutowała nader obiecująco w trudnej roli przeczernionego wampa. I znana wypróbowana ekipa aktorska — **Ćwiklińska, Stanisława Wysocka, Lidja Wysocka, Junosza Stępowski** i **Zelwerowicz** robią więcej aniżeli w tym wypadku można było zrobić — ratują sytuację nawet w naszych oczach.

Stefanja Zahorska.

W poprzednim 6-stronicowym numerze (757) „Wiadomości Literackich" (4 ilustracje): **Władysław Witwicki:** Kazimierz Twardowski. — **Leonid Grossman,** przełożył **Władysław Broniewski:** Zapiski d'Archiaca: Śmierć Puszkina. Poeta w rozterce. — **Julian Krzyżanowski:** Liryka polska w łotewskiej szacie. — **William Jensen:** O współczesnej literaturze duńskiej. — **Emil Breiter:** Tragedja Zamoyły. — **Janina Broniewska:** Książki dla młodzieży i dzieci. — **Bolesław Dudziński:** Wśród książek. — **Bruno Winawer:** Muszle na wybrzeżu: Googol. Cyfry astronomiczne. Centryfuga. Ciśnienia. Dziesięć miljonów woltów. — **Antoni Słonimski:** Kronika tygodniowa. — **Mieczysław Wallis:** Wystawa Filipkiewicza. — **Stefanja Zahorska:** Nowe filmy. — Kronika francuska. — Polska zagranicą. — Camera obscura. — Tydzień bibljograficzny. — Książki nadesłane. — 10 lat temu.

Pełną swobody pewność siebie

posiada Pani, która wie, że się podoba. Wypielęgnowana cera podnosi naturalny urok Pani, dlatego też należy dbać o zachowanie młodzieńczo świeżej cery, chroniąc ją przed wiatrem, słońcem i niepogodą. Three Flowers Vanishing Cream jest idealnym kremem chroniącym cerę. Przylega on dobrze do skóry i utrzymuje jej elastyczność; stanowi on ponadto doskonały podkład pod puder Three Flowers. Pośród 12 pięknych odcieni tego znakomitego, delikatnego jak pyłek kwiatów, pudru, znajdzie zawsze każda z Pań właściwy ton, harmonizujący z jej cerą, odpowiedni na każdą porę dnia i do każdej toalety. Dobrze wybiera, kto wybiera najwyższy gatunek — a więc Hudnut!

HUDNUT
PARIS — NEW YORK
Three Flowers
Puder Krem

Jules Romains w Warszawie

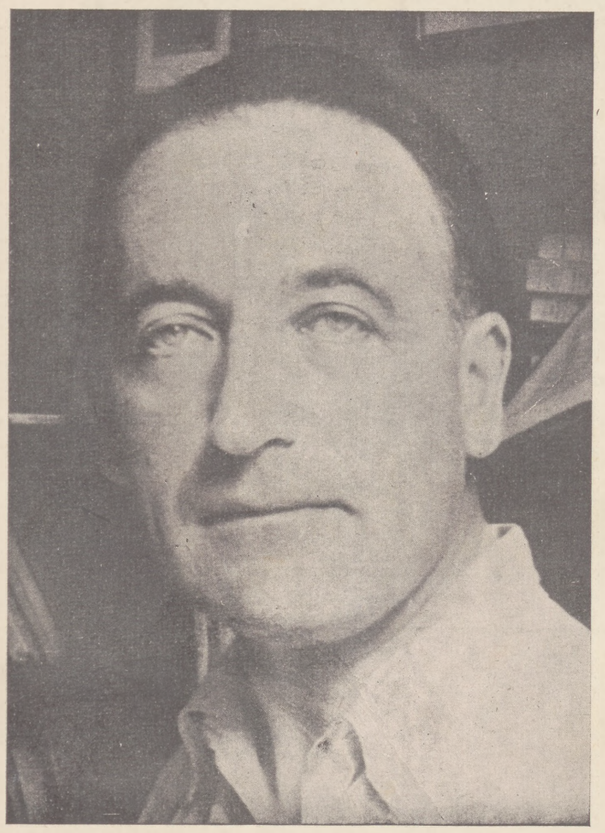

Znakomity pisarz francuski, prezes Federacji Penclubów, Jules Romains, przybył do Warszawy na zaproszenie Instytutu Francuskiego i Polskiego Klubu Literackiego (P. E. N.)

RADJO

„TATA DZWONIŁ" MARJI MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKIEJ

Słuchowisko to schematem postaci i techniką przypomina sztuki autorki. W dialogu, wyraźnie statycznym, jaskrawo, brutalnie zarysowują się charaktery mężczyzn, sztampowe już typy tępych, niechlujnych, cynicznych egoistów, właściwie — łajdaków. Najmożliwszy z nich, to ślamazarny grafoman, który nie mogąc znaleźć... „stosunku do tematu" wielkiego a popłatnego arcydzieła, pozwala się za tanie sentymenty utrzymywać żonie zarabiającej 150 zł miesięcznie. Kobiety natomiast (i którą się słyszy i o której się słyszy), to istoty szlachetne, subtelne, uczuciowe, pracowite, schludne a przez mężczyzn wyzyskiwane i porzucane na starość. W związku z tą niedolą wyłania się sprawa zaopatrzenia porzuconej żony. Praw do alimentów i ich wysokości każe autorka bardzo pomysłowo bronić synom, którzy z pragnącego się rozwieść ojca wyciskają jak największą sumę niby to dla matki a w rzeczywistości dla siebie samych.

Całość robi wrażenie pierwszego aktu mocnej w rezonerstwie a wątłej dramatycznie sztuki, w której daremnie byłoby oczekiwać sarceyowskiej „scène à faire". Jest kilka dobrych satyrycznych chwytów, nuży jednak zbyt jednostronne skontrastowanie charakterów wedle płci. Kontrast ten artystycznie wychodzi zresztą na korzyść mężczyznom. Postaci ich są żywsze, bardziej interesujące i aktorsko wdzięczniejsze. Jeżeli mdło szlachetna postać córki Karoliny nie rozlazła się całkiem w abstrakcyjnych zaletach, zawdzięczać to należy wyłącznie wysokiej miary kunsztowi **Romanówny.** Szkoda tylko że nie dopatrzono dźwiękowego efektu kroków artystki; rozbrzmiewały one z dobitnością drewnianych chodaków na kamiennej posadzce. Mikrofon płata czasem różne figle.

Stefan Essmanowski.

10 lat temu

10-stronicowy nr. 226 „Wiadomości Literackich" poświęcony jest w całości pamięci Stanisława Przybyszewskiego. Składają się nań „Moja autobiografja" i fragment z t. II „Moich współczesnych" Przybyszewskiego, fragment pracy Stanisława Brzozowskiego o Przybyszewskim, artykuły Stefana Kołaczkowskiego, Michała Sobeskiego, Juljana Wołoszynowskiego, Zofji Nałkowskiej, Marji Dąbrowskiej, Antoniego Millera, Jana Parandowskiego, L. H. Morstina, Jiriego Karáska ze Lvovic, Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Hulewicza, Kazimierza Czachowskiego, Gustawy Liszkiewiczowej, fragment poematu Jana Lemańskiego.

W notatce „Społeczeństwo a Przybyszewski" redakcja podaje skierowane do Przybyszewskiego wezwanie Zarządu Zamku i Łazienek Królewskich z dn. 4 listopada 1927 r. o natychmiastowe wpłacenie „stosownie do polecenia Oddziału Gospodarczego Kancelarji Cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej" należności za lokal i świadczenia w sumie zł. 264.21: **„W przeciwnym razie zostanie Panu przerwany prąd elektryczny i wydawanie opału".** (Jak wiadomo, Przybyszewski w ostatnich latach swego życia mieszkał w Pałacu pod Blachą). Pozatem zacytowano artykuł M. J. Wielopolskiej z „Głosu Prawdy" „Słony hołd"; w artykule tym autorka ujawnia szereg ciekawych szczegółów, dotyczących rachunków wystawionych przez pewne sfery poznańskie rządowi, który wziął na siebie koszta pogrzebu. W rachunku dworu i plebanji figurują takie pozycje, jak 14 stłuczonych spodków — zł 6.80, 11 szklanek — zł 3.85, 3 kieliszki — zł 1.05. „Za wypożyczenie zastawy stołowej porcelanowej policzono 155.65 zł. Samych gwoździ zużyto za 40 zł. Majętność Latkowo policzyła za 230 **„świerek"**, które oczywiście, chyba odebrała, bo tych **„świerek"**, przypuszczam, do grobu Przybyszewskiemu nie spuszczono: 460 zł...".

Moją śliczną cerę
zawdzięczam tym dwum kremom: pielęgnującemu i upiększającemu.

CRÈME SIMON
CRÈME SIMON
M.A.T.

PUDER SIMON
MYDŁO SIMON

POLSKIE TOWARZYSTWO UBEZPIECZEŃ
»PATRIA« S.A. WARSZAWA PL. NAPOLEONA 3

Jedyne w Kraju Towarzystwo,
uprawiające wyłącznie działy wypadkowe

Ubezpieczenia: od następstw nieszczęśliwych wypadków
odpowiedzialności cywilnej — autocasco.

W pracowniach pisarzy polskich*)

Ankieta „Wiadomości Literackich"

Janusz Minkiewicz: Książki żadnej w najbliższym czasie nie wydaję, nie tylko dlatego że pracuję teraz głównie nad obronnością państwa, lecz także dlatego, że jakakolwiek książka przeze mnie wydana byłaby t. zw. debjutem. Żeby zaś debjut wypadł tak jak tego sobie życzę, potrzeba mi więcej czasu i mniej rozproszenia. Więc czekam.

Tymczasem, obok robótek rozrywkowo-zarobkowych, przygotowuję dłuższą pracę p. t. „Kiedy byłem kuchtą, czyli kuchty rządzą światem". Będzie to opowieść z przeżyć własnych, rzecz wysoce tendencyjna a zmierzająca do wykazania że to co się teraz na świecie wyprawia — jest sprawką jakiejś Wielkiej Kuchty, inspirującej mózgi i móżdżki totalistycznych wielkorządców.

Henryk Ułaszyn: Nie o projektach donoszę, lecz o rzeczach realizujących się. W tej chwili kończę druk drugiego mego „Przyczynku leksykalnego" z podtytułem: „Trzy gwary uczniowskie". Rzecz zawiera trzy słowniczki — obejmujące przeszło tysiąc wyrazów — gwary uczniowskiej wielkopolskiej, królewiackiej i galicyjskiej. Jest to materjał przedwojenny pochodzenia ustnego; materjał z literatury (z druków) ogłoszę niebawem; również opracowanie, w którem podam charakterystykę słownictwa uczniowskiego, jego genezę i t. p. — Pozatem przygotowuję do druku zbiór studjów językowych, dotyczących dziejów szeregu wyrazów polskich; część tych studjów była już w fachowych perjodykach drukowana (obecnie ukażą się z dopełnieniami), inne ukażą się w druku po raz pierwszy. Tyle na najbliższą przyszłość. O drobniejszych rzeczach nie wspominam.

Kazimierz Wierzyński: Wyjeżdżając jesienią do Paryża, złożyłem w „Książnicy-Atlasie" wybór moich recenzyj teatralnych p. t. „W garderobie duchów"; powinien się ukazać niezadługo. W tym samym czasie na propozycję wydawnictwa J. Mortkowicza przygotowałem „Wybór poezyj" dla szkół; o ile wiem, ukaże się w bieżącym sezonie. Przełożyłem dla Teatru Polskiego sztukę Mauriaka „Asmodeusz". Z nowych wierszy mam ukończony cykl „Kurhany". W opracowaniu inne rzeczy, o których nie chciałbym jeszcze mówić publicznie.

*) patrz nr. nr. 741 — 747 i 752 „Wiadomości Literackich".

Muzeum
Pana Grypsa

rozwiązują łatwiej posiadacze dzieł:

M. Arcta. Nowoczesna Encyklopedia Ilustrowana . . . opr. zł. 45.—
na raty . . . . . po zł. 5.—

A. Szelągowski. Historia Powszechna 3 t. . . . . zł. 150.—
na raty . . . . . po zł. 12.—

Warszawa **M. ARCT** Nowy Świat 35

CAMERA OBSCURA

O współpracę czytelników „Wiadomości Literackich" w „Camera obscura"

CO TYDZIEŃ ZŁ. 25.— NAGRODY

Zwracamy się niniejszem do czytelników „Wiadomości Literackich" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura".** Prosimy o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materjałów, jak broszury, ulotki, czasopisma (w postaci całych numerów lub wycinków nie pozostawiających wątpliwości skąd pochodzą) z ustępami kwalifikującemi się do „Camera obscura" pod adresem: **Warszawa, Królewska 13,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne,** wystarczy surowy materjał. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materjału i zastrzega sobie prawo wyzyskiwania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości zł. 25.—,** która ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

W ubiegłym tygodniu nagroda **zł. 25.—** została podzielona w sposób następujący: **zł. 10.—** otrzymał p. **Zygmunt Grudniewski w Warszawie** (Wspólna 39) za wycinek z „Kurjera Czerwonego", **zł. 10.—** p. **Szmcha Felker w Konatynie** (Einsteina 17) za wycinek z podręcznika na kl. VI szkół powszechnych Jarosza i Kargola, **zł. 5.—** p. **Michał Olicki w Warszawie** (Pańska 10) za wycinek z „Kurjera Czerwonego".

ILLO TEMPORE

W feljetonie o meczu Polska — Węgry czytamy w „Kurjerze Czerwonym" (nr. 102):

W pociągu opowiadał Doroba o swych przygodach w parlamencie polskim.

— Mieszkałem od dziecka przy Sejmie i lubiłem przychodzić na posiedzenia. Odwiedzałem wtedy Sejm bardzo często.

— Galerję?

— Nie. Salę posiedzeń. Odbywało się posiedzenie, posłowie gadali, a ja z kolegą grałem pod fotelami w chowanego. Od czasu do czasu tylko przewodniczący mówił: „Dzieci — ciszej!" i zabawa szła dalej.

A raz, na wiosnę, załadowaliśmy do klucza siarkę, przysunęliśmy się pod otwarte okna i rąbnęliśmy o mur. Wybuch był jak z armaty. Sam pan marszałek Rataj gonił nas po ogrodzie...

...„Co nam zostało z tych lat?"...

NOWY POEMAT

Z podręcznika na kl. VI szkół powszechnych (Jarosz i Kargol. Opowiadania; str. 113):

Z dołu dochodzi głuchy tupot koni, bo mieszkanie znajduje się nad stajnią, z poza drzwi słychać skrzypienie gęsiego pióra, a goście czekają cierpliwie, kiedy gospodarz do nich wyjdzie i z mokrych jeszcze kartek odczyta, co napisał. Wiedzą oni dobrze, że przy nich powstało dzieło znakomite, jakiemu równego nie posiada Polska, a może nawet cała Europa.

Jest ono pełne tęsknoty za Ojczyzną, jak o tem czytamy zaraz na początku książki:

„Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą
w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie".

— To też nowy poemat — powiada jeden z gości — mówi tylko o Polsce, o jej niedoli, o tem, jak w niej w czasie wojen napoleońskich żyła, bawiła się i walczyła z Moskalami nasza szlachta.

Poemat, którego początek brzmi, jak powyżej, jest w samej rzeczy czemś zupełnie nowem.

SŁAWEK

Z „Dobrych rad Pani Zofji" („Kurjer Czerwony", nr. 99):

Sławek.
Rezygnacja p. Sławku, nie zawsze jest destrukcyjną. Oczywiście, jeśli człek siądzie na popielisku swych projektów i lamentuje i rozpamiętywa to, co było, bez żadnej akcji w kierunku naprawy, to taka rezygnacja jest nie tylko destrukcyjna, ale rozpadowa.

A Pan, panie Sławku, ma piękną przyszłość przed sobą. Otwierają się przed Panem wszystkie drogi. Wybór od Pana zależy. Może te drogi nie wybite są atłasem ani nie wyłożone pieczonymi gołąbkami, ale — na Boga — właśnie dlatego sycące, piękne, zdobywcze! A przecież w Panu, mimo chwilowej depresji, wiele jest ze zdobywcy.

Odpowiedź powyższa wywołała w kołach politycznych stolicy żywe poruszenie. Zwłaszcza szeroko komentowane jest zdanie „Wybór od pana zależy". Wtajemniczeni twierdzą, że jest to pomyłka zecera i że powinno być: wybory.

GENERAŁ

Z dziennika paryskiego „Excelsior" (19. III):

si la Lithuanie ne se soumet pas à l'ultimatum qui lui a été remis, la Pologne aura recours à la force armée. Le général Wieczór Warszawski déclare aujourd'hui à midi: „Les portes artificiellement fermées doivent être ouvertes par la force".

Wyżej wymieniony generał polski miał zapewnione poparcie znanego generała francuskiego Paris Soir.

ŚLICZNY CHOCHLICZEK

„Dziennik Ludowy" (nr. 79) w artykule „Na drodze do Mitteleuropy":

Jeszcze nie tak dawno ukakanie się faszystowskich mundurów na Brennerze wystarczyło by „Wódz" poruszył myśl Anschlussu.

PALLIDA MORS...

Ogłoszenie w „Kurjerze Warszawskim" (nr. 72):

Sklep spożywczy sprzedam. Powód śmierć. Szara 3.

Aczkolwiek „Kurjer Warszawski" do nieboszczyków jest przyzwyczajony, zjawienie się inserenta w administracji wywołało popłoch i przerażenie.

ŻYCIE POZAGROBOWE

Ogłoszenie urzędowe Sądu Okręgowego we Lwowie z dn. 27 stycznia b. r.

T. 272/37. Jan Mularczyk, urodził się 1915 roku na Wołyniu pod Łuckiem... i w tydzień po urodzeniu się zmarł. Ogłasza się powszechne wezwanie o udzielenie Sądowi wiadomości o losach zaginionego. Zaginiony zaś, jeśli żyje winien w ciągu 3 miesięcy donieść Sądowi o swem życiu.

Doradzamy sądowi urządzenie seansu spirytystycznego.

Z NAJNOWSZEJ LIRYKI MIŁOSNEJ

Dwa ogłoszenia z działu „Szukajmy się wzajemnie" („Kurjer Codzienny", nr. 65):

Dziewczyno! Dam szczęścia czar, swe życie Ci, miłości żar, lecz... pomóż mi!...
„Matrimínium"

Jeśli choć coś masz... rzetelnaś...
Podaj współpracy dłoń...
Jeśliś.. niczyja..: subtelnaś..:
Szczerze napisz doń.::
„Małżeństwo niewykluczone".

REKLAMIARSTWO ŚRÓD OSESKÓW

W spisie adresów Reklamy Pocztowej znajdujemy na str. 21 m. in. następujące pozycje:

Literaci i członkowie PEN Clubu.
Majątki leśne.
Nadleśnictwa.
Noworodki ca. 3000 mies.

DOKUMENT

Do jednej z instytucyj skarbowych w Warszawie nadeszło pismo następujące:

Donoszę uprzejmie, że w Austryjackiego Banku Narodowego wpłynęło dnia 20 grudnia 1937 r. należytość $ 90.50 i to w dwóch odpisach.

Grzegorz B... zmarł 21 grudnia 1937 roku. Powód choroby w dniu 12 października 1937 r. zaplątał się pies a dzieci szkolne i inne zrobili zbiegowisko za psem ten się schował do okienka od piwnicy na tej piwnicy jest pokój, w tym pokoju leżał św. p. B... w łóżku, aby uspokoił ból romatyzmu, w tym czasie Państwowy policyon nazwiskiem Niechcioł dał 5 szczałów w to okienko do psa dom cały wydał jęk a św. p. G. B... dostał choroby serca padaczki i zmarł 21 grudnia 1937 r. I to samowładnie bez uwiadomienia ja również dostałem choroby serca.

Posłane do Wiednia losy sprzedane i t. d.

Tydzień bibljograficzny

SŁOWNIKI, ENCYKLOPEDJE

Świat i życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Redaktor naczelny: dr. **Zygmunt Łempicki,** prof. Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego. Redakcja: dr. **Anna Chorowiczowa.** Tom. V. Zeszyty 9 — 10. Lwów, Książnica-Atlas, 1937; str. 1153 — 1408. Zł. 6.— i 4.80 (w prenumeracie) za zeszyt. — Encyklopedja informacyjna.

POWIEŚĆ, NOWELA

Stefan Balicki. Czerw. Powieść. Warszawa, „Rój", 1938; str. 293 i 11nl. Zł. 6.— Tematem powieści jest zagadnienie stosunku dziecka do rodziców, zagadnienie rodziny jako komórki wychowawczej, zagadnienie skazy jaką na duszy młodego chłopca pozostawia atmosfera domu rodzinnego.

Vicki Baum. Wyprzedaż. Tytuł oryginału: „Big Sale". Z upoważnienia autora przełożyła **Ludwika Ciechanowiecka.** Warszawa, „Rój", 1938; str. 302 i 2nl. Zł. 6.— Nowa powieść popularnej autorki.

G. O. Baxter. Szalona jazda. Tytuł oryginału „King Charles Riders". Z upoważnienia autora przełożył **Dr. J. P. Zajączkowski.** Warszawa, „Rój", 1938; str. 244 i 12nl. Zł. 5.— Powieść sensacyjna.

Zygmunt Żegilewicz. Co o komunizmie wiedzieć powinniśmy. Str. 44. Sprzedaż w kioskach kolejowych Tow. „Ruch" i większych księgarniach. Każdy interesujący się zagadnieniami politycznymi znajdzie tu szereg cennych dla siebie uwag.

HISTORJA, PAMIĘTNIKI, BIOGRAFJE

Ewa Curie. Marja Curie. Z 82 ilustracjami. Przekład **Hanny Szyllerowej.** Okładka projektu atelier **„Mewa",** Warszawa, J. Przeworski, 1938; str. 448 i 4nl. i tabl. 32. Zł. 17.— i 21.— (opr.). Na biografję wielkiej uczonej, napisaną przez córkę i przetłumaczoną już na liczne języki, składają się następujące rozdziały: „Anciupecio", „Posępne dni", „U progu młodości", „Projekty. Próby. Wahania". „Trzeba być bardzo cierpliwą", „Nareszcie wolna", „Paryż! Paryż!", „Czterdzieści rubli na miesiąc", „Piotr Curie", „Młode małżeństwo", „Odkrycie radu", „Cztery lata w drewnianej szopie", „Zmartwienia i troski", „Pewna teza doktorska i krótka rozmowa", „W walce ze sławą", „Płyną dni", „19 kwietnia r. 1906", „Sama", „Blaski i cienie", „Wojna", „Pokój". „Wakacje w Larcoëst", „W Stanach Zjednoczonych", „U szczytu", „W domu na wyspie św. Ludwika", „W laboratorjum", „Sancellemoz".

Wszystkie książki nadsyłane do redakcji są odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z wydawnictw nadsyłanych bezpośrednio pod adresem „Wiadomości Literackich", a nie ich współpracowników.

O egzemplarze recenzyjne redakcja „Wiadomości Literackich" w żadnym wypadku nie będzie się ubiegała.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach.

Korespondencja

B. D. w Podkowie Leśnej. Odpowiedź znalazła Pani w nr. 756 „Wiadomości Literackich".

Edw. M. w Chodzieży. Nie wydaje się nam aby pretensja Pana była uzasadniona.

L. Epst. Zaszło nieporozumienie; przyznanie książek uczestnikom głosowania odbędzie się w maju b. r.

Jul. Przesłaliśmy kierownikowi działu „Camera obscura".

Junior. Nie skorzystamy.

Alfr. R.-Kr. w Brześciu. Z wiersza nie skorzystamy.

J. P. Z wiersza nie skorzystamy.

Cza w Nowej Wilejce. Nie wydrukowali.

J. Ł. w Gdyni. Nie skorzystamy.

P. L. Utwór p. t. „Pe[illegible]" nie będzie kowany nie będzie.

J. K. Zamieścimy.

L. J. Sądzimy, że sprostowanie należy skierować do pisma, w którem ukazała się mylna informacja.

KURSY SAMOCHODOWE Reczko
NOWOGRODZKA 41. TEL. 7.16.34

Książki nadesłane

John Knittel. Via Mala. Powieść. Miłość Sylwji. Powieść. Wielka gra. Powieść. Z upoważnienia autora przełożył **L. J. Wirski.** Warszawa, 1938; str. 319 i 10nl. (I), 329 i 9nl. (II), 310 i 10nl. (III).

Jan Lorentowicz. Teatr Polski w Warszawie 1913 — 1938. Rysunek okładki, inicjały, przerywniki w drzeworycie oraz układ książki wykonał **Stanisław Ostoja-Chrostowski.** Warszawa, 1938; str. LXXV i 1nl. i 194 i 2nl.

Instytut Gospodarstwa Społecznego. Ludwik Krzywicki. Praca zbiorowa poświęcona jego życiu i twórczości. CXXXVI i 3nl. i tabl. 8.

D. Mereżkowski. Jezus objawiony. Przełożył **J. Horzelski.** Okładkę projektował **Tadeusz Piotrowski.** Warszawa, (1937); str. 303 i 1nl.

Władysław Okrzewski. Witold Pantra. Słówka oczekiwane. Kraków, 1938; str. 55 i 1nl.

Płomienne dale. **Józefa Pluskowskiego** poezyj tom drugi. Winjetę rysował **Adolf Serafinowicz.** Warszawa, 1938; str. 69 i 3nl.

Zdzisław Pruski. Wiersze swawolne. Warszawa, 1938; str. 94 i 2nl.

Dr. **Bronisław Rosenthal.** Heinrich von Kleist und Stanisław Wyspiański. Ein Vergleich der Tragik in ihren Dramen. Kraków, 1938; str. 290 i 2nl.

Tamara Sołoniewicz. Wspomnienia tłumaczki „Intourista". Przełożyła **Zofja Prawdzicowa.** Projekt okładki **St. Brzęczkowskiego.** „Zapiski sowietskoj pieriewodczicy". Izd. „Gołos Rossiji". Sofia 1937. Warszawa, „Bibljoteka Polska", 1938; str. 312 i tabl. 1.

Dr. **Abdullah Zihni Soyssal.** Z dziejów Krymu. Polityka — kultura — emigracja. Prace Młodzieży Krymskiej na Emigracji. Nr. I. Warszawa, 1938; str. 112.

Antoni Trepiński. Dziennikarz na prowincji. Warszawa, 1938; str. 47 i 1nl.

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą zł. 12.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty, 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Kolumna ma 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota 8 m. 10, tel. 2-42-82, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 16 — 18. ADMINISTRACJA: Królewska 13, tel. 2-23-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, w godz. 9 — 19. Konto w P. K. O. 8.515.

Drukarnia Galewski i Dau, Warszawa, Ordynacka 6.

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI